Dziś w numerze: ● Ponieważ wszyscy jesteśmy sąsiadami ● Misja kryptonim „Freston" ● Wydarzenie ● Rembrandty króla Stanisława Augusta ● Spójrz im w twarz ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

odgłosu

Nr 4 (418)
29. I. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X

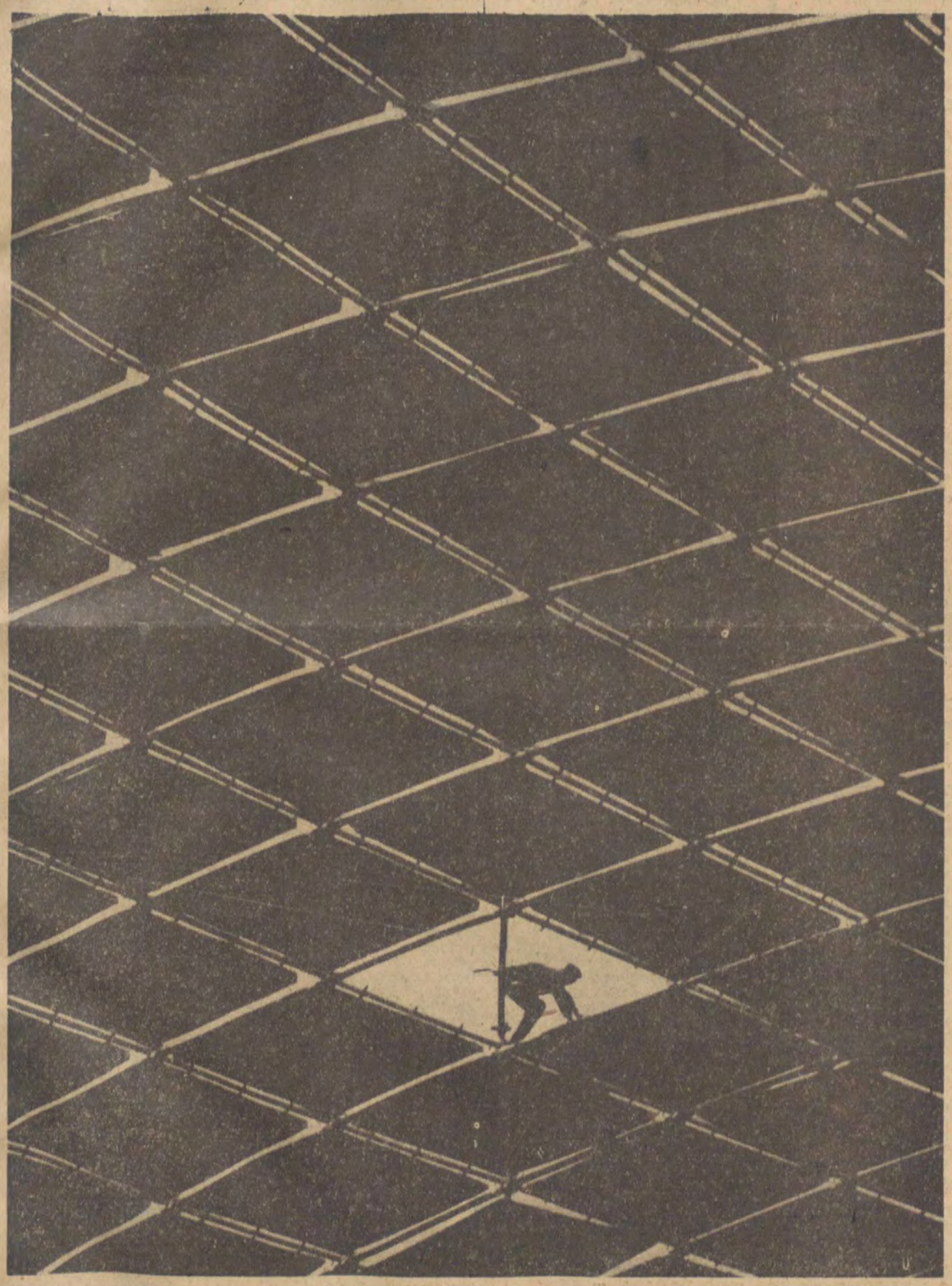

WACŁAW BILIŃSKI

WIELKI DZIEŃ

W śródmieściu wsiadam do taksówki. Gdzie jedziemy? — pyta kierowca. Do Teatru Wielkiego. Nareszcie, co? — mówi kierowca i to „Nareszcie!" będę słyszał jeszcze wiele razy w tym dniu. Ale oto już plac Dąbrowskiego. W pięknej zimowej pogodzie, w łagodnym, przymglonym słońcu — gmach Teatru wygląda godnie i okazale: jest prosty, surowy, trochę konserwatywnie już staromodny. Jednym słowem: jakby wzniesiony wg angielskiej recepty na męską elegancję „ubieraj się tak, jak było modnie parę lat temu".

Od postoju taksówek do wejścia — 50 metrów i czas na błyskawiczną retrospekcję: tu, w tej dzielnicy zamieszkałem po przyjeździe do Łodzi przed laty bez mała 20. Mogłem przeto uważnie śledzić dzieje — zrazu — tego olbrzymiego wykopu — potem — oszalowanego, nieruchliwego placu budowy. Mijały lata, dźwigała się surowa, prostokątna bryła, a łodzianie wymyślali dowcipy na temat tej budowy, nawykając do jej zbyt dla nas — nerwowych i zakompleksionych — wolnego tempa. Gdzieś w okolicy przełomowych lat 55 i 56 rozgorzała zażarta niepublikowana dyskusja: że utracono szansę, że trzeba było stawiać na supernowoczesność w architekturze, że Wright, że Corbussier, że Salminen...

Dziś przemilczę własne moje ówczesne sądy: bo oto w słońcu mroźnego, przychylnego nam styczniowego dnia roku 1967 — właśnie ta spokojna umiarkowana architektura pięknie się sprawdza: cały ten plac zabudowany przypadkowo jednoczy Teatr Wielki w zwarty, wielkomiejski organizm, nadając mu spokojną — znów użyję tego słowa — i konserwatywną elegancję. Brak mi tylko przed teatrem pomnika, na tym wielkim placu o właśnie taki akcent plastyczny, aż się prosi. Byłby on potrzebny i dla podkreślenia ciągłości młodej tradycji teatralnej naszego miasta: więc może by tu właśnie upamiętnić owocny trud Leona Schillera, któremu Łódź teatralna tyle zawdzięcza?

W hallu już się zebrał tłum zaproszonych gości: na razie skupia się w pierwszych szatniach i u wejścia wciąż jeszcze spiętego biało-czerwoną taśmą. Reporterzy błyskają fleszami, radiowcy przeprowadzają ostatnie próby mikrofonowe — i wreszcie zaczyna się uroczystość. Przewodniczący MRN wygłasza przemówienie, to jego przede wszystkim dzień — Wielki Dzień — cóż dziwnego, iż jest zdenerwowany. Potem parę słów wiceministra Rusinka, błysk nożyc, terkot aparatów filmowych — przecięta taśma opada: **Teatr Wielki w Łodzi został nareszcie otwarty.**

Teraz szybko na widownię, jesteśmy jej najbardziej ciekawi. Pierwsze wrażenie: sala jest kameralna — i natychmiast każdy musi odczuć, iż w szczególny sposób sprzyja skupieniu i koncentracji. Tu istotnie projektanci i budowniczowie dokonali maistersztyku! Z każdego miejsca widoczność znakomita — i jeszcze to wrażenie, że scena jest tak blisko, że to nie kolos na 1.300 miejsc, lecz amfiteatr wyczarowany dla intymnego, bezpośredniego delektowania się aktorstwem.

No i następne wrażenie, które pogłębia się w miarę obcowania z każdym detalem gmachu: elegancja! Skromna, prosta i przez to jeszcze bardziej wytworna. Teraz możemy sobie już powiedzieć prawdę: kogoż nie straszyło widmo nowobogackiego zbytku, jakichś reminiscencji pałaców fabrykanckich? Baliśmy się tego dla Łodzi — jeszcze bardziej po warszawskiej inauguracji, po tych brelokach, świecidełkach, błyskotkach i fintifluszkach, które tak nas rażą we wnętrzu warszawskiego teatru.

Dalszy ciąg na str. 3

EWA SIEMIŃSKA

ŚMIERTELNY WRÓG CZY PRZYJACIEL?

Rok 1945 — Hiroszima. Wybuch pierwszej bomby atomowej. Dwie trzecie miasta zniszczone, 80 000 zabitych. Ale ofiar było znacznie więcej. Do 1954 roku 200 000 osób zmarło na chorobę popromienną. Liczba ta ciągle narasta. Bo rak, rozwijający się w organizmie, który podlegał działaniu dużych dawek promieniowania, atakuje czasem ustrój człowieka w kilkanaście lat później lub nawet po jeszcze dłuższym okresie.

Rak — zawodowa choroba górników wydobywających rudy uranu i robotnic pokrywających tarcze i wskazówki zegarków świecącymi substancjami. Śmierć, która zabierała tych ludzi miała na imię: promieniowanie jonizujące (promieniowanie o bardzo wysokiej energii wytwarzające jony w ośrodku przez który przechodzi).

Ale natura tą samą ręką, która zabija, potrafi czasem uzdrawiać, pomagać człowiekowi. Odpowiednio stosowane promienie X i promieniowanie radu wykorzystywane są właśnie do leczenia raka i innych nowotworów. A jakie usługi oddają człowiekowi te same promienie X w powszechnie stosowanym lecznictwie, aparatach rentgenowskich! Trudno sobie wyobrazić bez nich dzisiejszą medycynę. Promieniowanie jonizujące okazało się tym razem sprzymierzeńcem człowieka. Nie tylko w tej dziedzinie. Wprzągnięto je w służbę dla ludzkości. Nauką, która tym się zajęła jest m. in. chemia radiacyjna — gałąź wiedzy, której przedmiotem zainteresowań i badań są zjawiska chemiczne zachodzące pod wpływem promieniowania jonizującego oraz możliwości praktycznego zastosowania tych zjawisk. Dla nas to jeszcze sprawy mało znane. Ale nasze dzieci będą już chyba za pan brat z chemią radiacyjną. Wkroczenie tej dziedziny do codziennego życia ludzi jest bowiem tylko kwestią czasu, a w niektórych krajach (ZSRR, Stany Zjednoczone, Kanada) już zaczęło się powoli dokonywać.

* * *

Badania z zakresu chemii radiacyjnej można obecnie podzielić na dwie duże grupy:

- teoretyczną, której przedmiotem są zagadnienia podstawowe oraz
- próby praktycznego zastosowania promieniowania jonizującego.

Zapoznanie się i orientacja w pierwszej z tych grup wymaga dobrej znajomości chemii i fizyki, chociaż więc część teoretyczna warunkuje istnienie drugiej grupy, nie o niej będzie mowa. Zbyt wielkie nastręczałoby to trudności autorce niniejszego artykułu, a i zapewne większości czytelników. Pozostaniemy więc przy kierunku praktycznym, ciekawym i dostępnym dla przeciętnego, nie wtajemniczonego śmiertelnika.

* * *

Jedni mówią: — Człowiek je, aby żyć — Inni (o jakżeż to polskie!): — człowiek żyje po to, aby jeść. — Jedno jest pewne: bez pokarmu nie ma życia. Człowiek zajmuje się więc zdobywaniem żywności i jej prze-

Dalszy ciąg na str. 5

Z.C ŚWIATA

Wśród wielu kłopotów Johnsona — jeden ma na imię: Ameryka Łacińska. Dlatego też u progu nowego roku zapowiedziano w Waszyngtonie, że gdzieś w połowie kwietnia odbędzie się w Punta del Este szczyt łacińsko-amerykański, w którym weźmie także udział prezydent Stanów Zjednoczonych. Wcześniej, bo w połowie lutego zebrać się ma w Buenos Aires XI Międzyamerykańska Konferencja Ministrów Spraw Zagranicznych. Równocześnie, co jest wydarzeniem bez precedensu, obradować mają odrębnie ministrowie Argentyny, Boliwii, Paragwaju, Brazylii, a może i Urugwaju — krajów, które w ramach Organizacji Państw Amerykańskich chcą utworzyć nowy blok — państw dorzecza La Platy. Oczywiście, co do jego charakteru nie można mieć żadnych wątpliwości, będzie to integracja systemów skrajnie prawicowych. Z wyjątkiem Urugwaju bowiem, który jak się przypuszcza zostanie do udziału w tym ugrupowaniu przymuszony, wszystkie inne wymienione powyżej kraje opanowane są przez prawicowe junty wojskowe.

Co jednak ma być głównym tematem obrad kwietniowego szczytu?

Utworzenie wspólnego rynku dla krajów Ameryki Łacińskiej, dla którego to projektu Johnson udzielić miał podobno swego poparcia. Koncepcja zmierza do znacznego zmniejszenia lub nawet zniesienia taryf celnych w handlu regionalnym.

Poszukiwanie przez kraje Ameryki Łacińskiej rozwiązań integracyjnych na płaszczyźnie gospodarczej wydaje się czymś naturalnym. Pogorszenie się warunków sprzedaży ich artykułów na tradycyjnych rynkach, szybki przyrost naturalny i niemożność zatrudnienia nadwyżek siły roboczej, odczuwalny coraz bardziej nacisk monopoli północnoamerykańskich — wszystko to karze myśleć o formach „samoobrony". I nie to budzi ciekawość, lecz — że Stany Zjednoczone chcą „pokierować" tą integracją. Wiele krajów zdaje sobie sprawę, że nie prowadzi to do niczego dobrego. Przykład „Sojuszu dla postępu" jest tu żywą ilustracją zamierzeń USA. Dlatego też zarówno lutowa konferencja ministrów, jak i kwietniowe spotkanie na szczycie, a także zapowiedziana wstępnie wielka podróż Johnsona po krajach Ameryki Łacińskiej — budzą żywe zainteresowanie. Do tematu przyjdzie nam na pewno powrócić, teraz więc stwierdźmy tylko, że wobec postępującego zróżnicowania politycznego krajów — członków OPA niełatwo z pewnością będzie ustalić jakieś wspólne zasady i Johnson może mieć nie lada kłopoty.

Nie ustają także zmartwienia prezydenta z powodu wojny wietnamskiej. Śledząc prasę amerykańską odnosi się wrażenie, że nigdy jeszcze tak szeroko nie wentylowano problemu, jak obecnie. Mam na myśli nie administrację, ale licznych polityków, komentatorów itp. Większość z nich podważa oficjalną politykę wietnamską, często proponując alternatywne rozwiązania.

Charakterystyczna dla tych głosów jest np. wypowiedź Waltera Lippmana. Pisząc, że kontynuowanie pacyfikacji Wietnamu południowego „wymagałoby, oględnie licząc, miliona wojsk amerykańskich na nieokreślony okres czasu", oraz że „znaleźliśmy się w punkcie, w którym mimo impasu, w jakim są zorganizowane siły wroga, nie odnosimy żadnych prawie postępów w uśmierzaniu działalności partyzanckiej;" — znany publicysta proponuje:

„Zamiast zdobyć i zajmować cały kraj, lepiej byśmy uczynili, zabezpieczając pozycje, będące obecnie w naszym posiadaniu".

Jak widać, Lippmann wypowiadając się za pozostawieniem wojsk amerykańskich w Wietnamie — nie rokuje im jednak ŻADNYCH powodzeń militarnych.

Nie on jeden. Upoważnia do tego lektura oficjalnego sprawozdania amerykańskiego o stratach w wojnie wietnamskiej. Według tych źródeł, zginęło tam 6,5 tys. żołnierzy USA, a ponad 36 tys. zostało rannych. Tylko w 1966 roku Amerykanie zrzucili na Wietnam tyle bomb, ile w czasie całej II wojny światowej w basenie Pacyfiku. Koszty wojny wzrosły ostatnio do ok. 2 mld dolarów miesięcznie. Jest to w stosunku rocznym suma, która pozwoliłaby dać każdemu Wietnamczykowi ok. 700 dol., czyli 6-krotnie więcej niż na głowę ludności wynosi obecnie dochód narodowy.

Rzecz przy tym znamienna — straty w sprzęcie, coraz zresztą kosztowniejszym, wzrastają bardzo szybko i ODWROTNIE proporcjonalnie do efektów wojskowych.

Do tej części Amerykanów, którzy dotychczas mówiąc o wojnie wietnamskiej powtarzali najchętniej słowa: honor, twarz, interes narodowy... — coraz częściej zaczynają trafiać FAKTY. A mają one niezbyt słodki smak.

* * *

Z ważnych wydarzeń ostatnich dni wymienmy spotkanie przywódców ZSRR i Polski, o czym doniosła PAP. Rozmowy na tak wysokim szczeblu są przedmiotem szczególnego zainteresowania prasy światowej. Komunikat o spotkaniu — jej zdaniem — pozwala przypuszczać, że dokonano wyczerpującego przeglądu nie tylko stosunków bilateralnych, ale i — chyba przede wszystkim — międzynarodowych, ze szczególnym uwzględnieniem konfliktu wietnamskiego oraz zagadnienia bezpieczeństwa Europy.

W. SŁAWSKI

Kronika tygodnia

■ Majątek Ministerstwa Obrony w Stanach Zjednoczonych wynosi na dzień 30 czerwca 1966 roku 183,6 miliarda dolarów. Suma ta stanowi około 53 proc. wartości całego majątku rządu federalnego w Stanach Zjednoczonych i poza granicami. Na listach płac Pentagonu figuruje bezpośrednio lub pośrednio około 14 milionów osób.

■ W dzienniku „Prawda" ukazał się artykuł omawiający aktualną sytuację w teatrach radzieckich. Szereg krytycznych uwag artykułu odnosi się do krytyki teatralnej. Między widzem, a dużą grupą krytyków — pisze dziennik, wytworzyła się pewna niezgodność. Na czym polega jej istota? Dość często czytamy bardzo negatywny artykuł o takiej czy innej sztuce, a tymczasem widz chętnie idzie na nią do teatru i swymi oklaskami wyraża niedwuznaczną aprobatę dla autora i jego pracy. Wstyd powiedzieć, ale często krytyczna recenzja jest swoistą reklamą dla autora sztuki. Wydawałoby się, że krytycy powinni czuć się zażenowani i zmartwieni z powodu swej omyłki. Nic podobnego. Z wojowniczą miną nadal buszują na łamach niektórych czasopism, toczą jałową i bezsensowną walkę z widzem.

■ Z Waszyngtonu donoszą, że zanotowano pewne postępy w rokowaniach, które od jesieni ub. roku odbywają się w drodze dyplomatycznej między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim w sprawie traktatu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej, i że istnieje nadzieja ostatecznego opracowania tekstu układu w nadchodzących miesiącach.

Ad infinitum.

(Newsweek)

■ Dyrekcja telewizji pekińskiej zapowiedziała, iż począwszy od 16 bm. zaprzestanie nadawania programu między godziną 19 a 21, dopóki będzie trwała „rewolucja kulturalna". Powód: program telewizyjny przeszkadzał studentom w pracy i nie miał racji bytu podczas rewolucji kulturalnej.

■ „New Statesman" o kardynale Spellmanie: Czując się bezpiecznie na swym stanowisku człowieka, który dostarcza kościołowi najwięcej pieniędzy, człowieka, który potrafi odróżnić wysoko notowane akcje od kilku bochenków chleba i kilku ryb Spellman zdecydowanie, otwarcie i wielokrotnie sprzeciwiał się papieżowi. Wojnę wietnamską należy prowadzić do końca. Nie jest do pomyślenia, aby wchodziło w grę cokolwiek innego aniżeli zwycięstwo, a ludzie walczący dla Ameryki są w istocie rzeczy żołnierzami Chrystusa. Trudno sobie wyobrazić mocniejszą naganę i silniejsze uderzenie w twarz, wymierzone przez duchownego duchownemu suwerenowi, którego władze powinien respektować we wszystkich sprawach. Energiczny papież — taki jak Inocenty III — byłby pozbawił Spellmana jego kardynalskiej purpury, zwolnił go z jego archidiecezji i wysłał go do klasztoru, aby resztę swych lat spędził na rozmyślaniach i pokucie. Montini (Paweł VI) natomiast stwierdza za pośrednictwem rzecznika, że rozumie stanowisko Spellmana, ponieważ przemawiał on jako generalny kapelan amerykańskich sił zbrojnych.

■ W Chinach powstała nowa organizacja pn. „Ogólnochińska buntownicza armia rewolucyjnych robotników". Celem tej organizacji jest zjednoczenie sił rewolucyjnych robotników, obrona rewolucji kulturalnej, podnoszenie produkcji, walka z małą grupą rewizjonistów pozostających u władzy. Opublikowana deklaracja głosi: „Robotnicy, podnieście głos, przyczyńcie się do zwycięstwa rewolucji w szkołach, fabrykach, na wsi. Rewolucja kulturalna winna się rozwijać w każdym zakątku naszego kraju, a w przyszłości na całym świecie".

■ W roku 1966, w Ameryce Łacińskiej dochód narodowy wzrósł zaledwie o 2,5 proc. na głowę. Komitet do spraw „Sojuszu dla Postępu" zwrócił uwagę, iż wzrost ten daleko nie wystarcza i odbiega od planowych założeń, które przewidywały wzrost w skali rocznej minimum o 5 proc., aby zapewnić niezbędny rozwój gospodarczy kontynentu.

■ Dziennik „Humanite" opublikował częściowe wyniki ankiety przeprowadzonej przez Francuski Instytut Badania Opinii Publicznej na temat „Co myślą Francuzi o partii komunistycznej". Na pytanie, „czy odniósłbyś się pozytywnie do tego, aby w przyszłości w skład rządu weszli komunistyczni ministrowie, czy też zająłbyś stanowisko negatywne lub obojętne, osoby biorące udział w ankiecie odpowiedziały: stanowisko pozytywne — 40 proc., przeciwne — 24 proc., obojętne — 27 proc., bez opinii — 9 proc.

■ W wyniku wojny wietnamskiej budżet wojskowy Stanów Zjednoczonych na rok finansowy rozpoczynający się w dniu 1 lipca br. wzrośnie do sumy 77—78 miliardów dolarów. Oznacza to, że budżet ten będzie bliski prawie budżetowi wojennemu USA w okresie największego nasilenia walk w czasie II wojny światowej w 1945 roku, kiedy to opiewał na sumę 81 miliardów dolarów.

■ Znany publicysta amerykański Walter Lippmann, mieszkający od 30 lat w Waszyngtonie zamierza przeprowadzić się do Nowego Jorku. W związku z tym rozeszła się pogłoska, jakoby zmiana miejsca zamieszkania spowodowana została pogłębiającą się niechęcią wybitnego komentatora wobec polityki prezydenta Johnsona. Zaprzeczając powyższemu, Lippmann powiedział: „Nie sprawiłbym mu takiej satysfakcji: Tutaj przetrwałem erę McCarthy'ego... Kiedyś często widywałem prezydenta. Obecnie już nie. Czułem, że okłamuje mnie. Mówił mi jedno, innym zaś rozmówcom wręcz coś przeciwnego".

■ Były minister spraw zagranicznych Belgii, Spaak, zaproponował zawarcie traktatu o nieagresji między NATO a państwami Paktu Warszawskiego.

■ Czeski dziennik „Rude Pravo" wystąpił z propozycją zastosowania w przemyśle tzw. polityki „drogiej siły roboczej", w celu wyeliminowania napięć między źródłami siły roboczej, a zapotrzebowaniem na tę siłę. W myśl tej propozycji przedsiębiorstwa zobowiązane byłyby do dokonywania stałych odpisów przeciętnie 20 tys. koron od każdej nowej pary rąk roboczych. Zastąpienie zaś takiej pary rąk przy pomocy techniki kosztuje — w zależności od charakteru produkcji 60—150 tysięcy koron.

■ W Jugosławii przewiduje się dalsze zmiany w przepisach o ruchu granicznym. Na mocy opracowywanego obecnie projektu obywatele jugosłowiańscy podlegaliby od prawie granicznej jedynie w czasie wyjazdu z kraju, zaś obcy obywatele — jedynie w czasie przyjazdu do Jugosławii. Przewiduje się także przedłużenie zezwoleń na poruszanie się w pasie granicznym na dwa lata.

Grunt to dobry pomysł

A pewnie, że grunt, zwłaszcza w wypadku felietonisty, który tydzień w tydzień musi wykropić kolejną pozycję, dowcipną, mizdrzącą się chwacko do czytelników, no i pomysłową, przede wszystkim pomysłową. Na mój skromny gust, poziom tej właśnie pomysłowości bardzo się u nas ostatnio podniósł. Doprawdy, co felieton to nowa i odkrywcza propozycja.

Pan KTT z „Kultury" zajął się gorliwie sprawą budowy szaletów w stolicy („W sprawie przeciągu"). Temat, jak wiadomo, wcale nie ograny, a jako sprawa wagi państwowej niesłusznie porzucony od czasów Sławoja Składkowskiego. Tymczasem, jeżeli wierzyć panu KTT, żeby naturalne potrzeby załatwić — biega się w stolicy z jednego końca miasta na drugi. Z innych niezwykle oryginalnych prawd, wokół których osnuty jest felieton, na uwagę zasługują odkrywcze twierdzenia w rodzaju, że pokoje w nowym budownictwie są za małe, źle wyposażone i licho wykonane. Zwłaszcza dla nas, lodzian, są to prawdziwe rewelacje.

Poniżej pana KTT, lecz w tym samym numerze „Kultury" zaprezentował pan Jan Szeląg pomysł wprowadzenia pojedynków. Ma to być jedynie słuszna forma załatwiania porachunków między literatami, oparta na sławnym u nas illo tempore kodeksie Boziewicza. Propozycja w rzeczy samej bardzo nowatorska, lecz stanowczo warta poszerzenia, albowiem to nieprawda, że spory wybuchają li tylko między literatami. Literatów nie jest wielu, zwłaszcza jeżeli odliczyć felietonistów, chyba że weźmiemy pod uwagę młodych pisarzy, pukających do drzwi ZLP, niekiedy dość mocno i niekoniecznie palcem. Ale i tak wypadnie proponować poszerzenie akcji pojedynkowej o inne środowiska twórcze. Są przecież aktorzy, dziennikarze, plastycy, filmowcy i jeszcze inni, u nich też nie brakuje sporów, które tylko krew może rozstrzygnąć. No, a dyrektorzy, zwłaszcza zaś kandydaci na dyrektorów? Pomysł Szeląga, znakomity w swej istocie, bardzo ożywiający życie towarzyskie, prowadzi także i do ożywienia rodzimej gastronomii. Wiadomo, że podczas pojedynku nikt nikogo nie zabije, a wszyscy pójdą sobie rano na eleganckie śniadanko, aby za zwrócone życie podziękować. Nie Bogu przecie, boć to przeważnie marksiści, ale ludziom. Nawet Słowacki w ten sposób pojedynkował się z Repelewskim, że skończyło się na obfitym śniadanku. Proszę teraz pomyśleć — jeżeli nawet tylko 10 procent sporów artystycznych stolicy kończy się rano w lokalu, kelnerzy nie będą u nas narzekać, że się do południa nudzą. Raczej lokali zabraknie, ale to sprawa dalsza, nie odbierajmy chleba felietonistom na przyszłość.

Wszystko to jeszcze nic wobec genialnej, jedynej w swoim rodzaju propozycji, jaką zademonstrował w praktyce pan Kisiel na łamach „Tygodnika Powszechnego". Doszedł on, mianowicie, do przekonania, że można mieć tygodniowy felieton wcale go nie pisząc. I to felieton na dobrym poziomie, często lepszy niż poziom własny. Wydaje się z pozoru, że to niemożliwe, nie da się żadną miarą zrobić, bo i jak? Da się, Kisiel dowiódł, że się da i to bardzo prosto. Trzeba tylko znaleźć jakiś poważny autorytet, który by uzasadniał podpisywanie tego, czego się nie napisało. Kisiel, oczywiście znalazł, nie byle kogo zresztą, bo samego Talleyranda. Onże Talleyrand powiedział — „ja nie potępiam, ani nie pochwalam, lecz opowiadam". Kisiel, jak nietrudno zrozumieć, wziął zacytowane słowa do siebie, to w końcu wolno każdemu, prawda? Ja także mogę twierdzić, że epokowe słowa Naczelnego Redaktora „Odgłosów" — „warto więcej płacić" — odnoszą się do mnie, i mnie miał na myśli Pascal, kiedy mówił „wszyscy sprawiedliwi mają zawsze możność pełnienia przykazań". Wróćmy jednak do pomysłu felietonisty „Tygodnika Powszechnego". Jak poradził mu osobiście Talleyrand tak Kisiel i zrobił — nie gani, nie chwali, tylko cytuje. Otrzymaliśmy w rezultacie cytat z artykułu p. Anny Morawskiej na przeszło trzy czwarte całości, cytat z Talleyranda, kilka słów przed cytatami i kilka po, a na końcu autentyczny podpis Kisiela, w wykonaniu mistrzów sztuki drukarskiej.

Ten pomysł ma przyszłość. W związku z tym zgłaszam nowy pomysł. Nie jeden raz rzucałem hasło — felietoniści wszystkich pism łączcie się! Ale warunków nie było, czy może raczej — nie widzieliśmy ich, nie potrafiliśmy dostrzec. Pomysł rodzi pomysł, jak pieniądz — pieniądz. Należy tylko umówić się w sposób następujący: najpierw uzgodniony wspólnie felietonista napisze tekst oryginalny, trudno, niech się trochę pomęczy. A reszta będzie go cytować. Potem drugi napisze — a reszta będzie cytować, potem trzeci i tak dalej do ostatniego, a potem znowu pierwszy. Nikt się specjalnie nie nameczy, w końcu wypadnie pisać naprawdę raz koło wielkiej nocy, a wszyscy, niezależnie od honorariów policzą sobie zasługi na polu upowszechnienia, nagradzane — jak wiadomo — ze szczebla państwowego i Rad Narodowych. Osobny walor tego pomysłu polega na tym, o czym chytry Kisiel nie zapomniał. Daje się przecież czytelnikowi delikatnie, ale wyraźnie do zrozumienia, że my i owszem, dlaczego nie, wcale byśmy nie streszczali i nie cytowali, gdyby nie... państwo rozumieją? Właśnie, właśnie o to chodzi, przecież my wcale nie musimy pisać ani o szaletach, ani pojedynkach, tylko — takie czasy, proszę pani, takie czasy! Cytujmy się więc ile wlezie, papier cierpliwy.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

WIELKI DZIEŃ

Dalszy ciąg ze str. 1

Tymczasem — zawód i jakże przyjemny: boazerie sali widowiskowej — surowe niemal drzewo — świetnie współgrają z abstrakcyjnym, nowoczesnym, kryształkowym stropem. Całość jest bardzo piękna, bardzo prosta, niezwykle funkcjonalna. Ale jak mówimy już tyle razy o tej prostocie — a trzeba będzie o niej jeszcze nie raz wspomnieć — to wyjaśnijmy rzecz do końca. Ta prostota jest wynikiem wielkiego twórczego wysiłku. To trudna prostota, będąca najistotniejszym warunkiem doskonałości.

Koncert inaugurujący o programie ułożonym z tą samą zwięzłością, którą w dniu tym docenialiśmy i przy wszystkich przemówieniach. Więc krótko: Uwertura do „Halki" dyrygowana przez Zygmunta Latoszewskiego, po jednej arii w wykonaniu Delfiny Ambroziak i Andrzeja Saciuka — wreszcie fragmenty orkiestrowe z „Carmen" prowadzone dynamicznie przez Józefa Klimczuka. Brawa — a także z uznaniem stwierdzony fakt wcale dobrej ogólnej akustyki sali.

Potem przerwa: zwiedzamy teraz główne i boczne foyer: dużo wszędzie światła, dużo powietrza. Architektura tych wnętrz zdaje się być skomponowana w pierwszym rzędzie właśnie z powietrza, przestrzeni — i ze światła, a już sam taki dobór głównych elementów konstrukcyjnych dobrze świadczy o twórcach gmachu. No i ta prostota. Skąd w Łodzi — niegdyś stolicy secesji i pozłacanego przepychu — takie wyczucie umiaru, harmonii, dystynkcji?

W głównym foyer przy lampce wina — jeszcze głośne słowa uznania dla twórców gmachu, jeszcze słowa zachęty dla zespołu, który awansuje przecież w tej siedzibie zgoła niezwykle. Brawa, gratulacje a wśród łódzkich kompatriotów — nastrój radości. Jakże bardzo trzeba nam było takiego święta! Jakże trzeba nam było dla łódzkiej kultury takiego wyróżnienia! Tak to wszyscy odczuwają, tym razem radość jest naprawdę powszechna, ten teatr to nareszcie wydarzenie o randze jakiej życzymy Łodzi: dla drugiego miasta Polski, drugi w naszym kraju gmach teatralny!

Znów wracamy na salę i tu dzieje się coś, co jest symptomatyczne dla epoki, w której żyjemy. Ujawnia się współczesna współzależność sztuki i techniki. Symbioza technokracji i humanizmu. Oto na scenie pojawia się inżynier, młody człowiek, który z lekkością i swadą prawdziwego weterana sceny prowadzi na naszych oczach godzinny prawie popis prestidigitatorski. Zupełnie to tak, jakby działał czarodziejską różdżką: gest, słowo — i znikają kolejne zapadnie sceny głównej, wznoszą się i opuszczają mosty i kurtyny, otwierają boczne sceny-kieszenie. Wszystko to działa z niezawodną precyzją, 18-tonowa stalowa kurtyna jedzie w górę nie hałasując w setnej części tak jak drzwi naszych tramwajów. Robi to wszystko imponujące wrażenie na laiku — ale dopiero fachowca-teatrologa rzucić musi na kolana. Bowiem ten popis technicznej wirtuozerii, to w istocie tylko powściągliwe wyliczenie możliwości realizacyjnych teatru: jego wielkich, nowoczesnych perspektyw inscenizacyjnych. Więc po zakończeniu tego jedynego w swoim rodzaju popisu raz jeszcze huczne brawa. A po wyjściu sprawdzimy jak świetnie pomyślany jest układ szatni (sprawa, jak wiemy z praktyki, niebłaha!) — raz jeszcze pomyślimy o Schillerze, o jego geniuszu monumentalnych scenicznych widowisk, tak krępowanych swego czasu technicznym ubóstwem.

19 STYCZNIA — GODZINA 19

Dokąd? — pyta kierowca taksówki. Do Teatru Wielkiego! Dziś nareszcie premiera — mówi taksiarz i brzmi to — a może tylko tak mi się zdaje — nad wyraz uroczyście. Na placu Dąbrowskiego gala, ruch jak nigdy, czuwają nad nim dyskretnie sprawni i dostojni milicjanci. Gmach w pełnej iluminacji, wydaje się jeszcze bardziej monumentalny i cóż dziwnego, że oblega go tłum ciekawskich.

W szatniach tłok: wystarczy rozejrzeć się, i już wiadomo, że Łodzi bardzo potrzebny był taki dzień nie tylko ze względu na ludzi teatru, na miłośników Melpomeny. Ten dzień — tak jak i ten gmach — był potrzebny i łódzkim pięknościom, które tu, w zalanych światłem foyer, w otoczeniu luster, na tle czarno ubranych panów — dopiero tu, od tej premiery, mogą błyskać sex-appealem jak nigdy dotąd. W tej atmosferze kobiecego współzawodnictwa mijają ostatnie minuty przed rozpoczęciem inaugurującej premiery — może słowo o kreacjach pięknych pań? Zauważyliśmy tylko jedną minisukienkę — ta moda tu się oczywiście nie sprawdza. Długich toalet było sporo — część ich nawet bardzo odważna. A jeśli już mowa o drobiazgach — to, jak mi mówiono, była i jedna (słownie: jedna) etola z nurków. Ponoć ze względów fiskalno-światopoglądowych mąż damy w etoli do magał się — niestety bez skutku — by przyczepić do niej (oczywiście do etoli, nie do damy) kątkę z napisem: „Wypożyczone tylko na jeden wieczór".

Tyle plotek: wchodzimy na widownię, już zapełnioną po brzegi. Nadal sprawia wrażenie kameralne, całkiem jakby w skupieniu pochyliła się ku scenie, by lepiej słyszeć. Nie ma takiej drugiej sali teatralnej w Polsce, to unikat! Powiedzmy jeszcze i dobre słowo o następnej unikalnej cnocie: w tej sali — tak jak i w licznych foyer, nad podziw sprawnie działa klimatyzacja.

Amfiteatr obsiedli dziennikarze, krytycy muzyczni i sprawozdawcy prasowi, niżej miejsca honorowe dla zaproszonych gości zagranicznych i dla władz warszawskich i miejskich. Gasną światła, chwila ciszy w której słyszę tylko szept siedzącego przede mną pana Jerzego Waldorffa: „Czysty funkcjonalizm — mówi koneser nad konesery — „Zupełne przeciwieństwo Teatru Wielkiego w Warszawie". I mówi to takim tonem, że aż miło łodzianinowi posłuchać.

Jeszcze oklaski dla dyrygenta — i uwertura, i spektakl. Niech piszą o nim znawcy, ja — tylko o wrażeniach pierwszego wieczoru, tylko o jego nastroju. Nieustannie, natrętnie — cisną się skojarzenia, znów „co by było", znów i całą chmarą — wspomnienia. Ten gmach budowany przeszło dwukrotnie dłużej niż trwała realizacja projektu Corraziańskiego (jako że tamten nie zaznał takich kłopotów ze zdobyczami ultranowoczesnej techniki), teraz, gdy już istnieje — zmienia sytuację opery łódzkiej. Więcej: zmienia sytuację łódzkiego teatru. I więcej jeszcze: zmienia chyba całą sytuację kulturalną miasta. Ten gmach otwiera nam wreszcie okno — i na Polskę, i na cały świat. Już nie będzie mogła Warszawa układać planu występów przybywających do Polski świetności — pomijając Łódź — „bo nie macie przecież odpowiedniej sceny". I chyba pora zacząć akcję wymienną: warszawianie do nas na gościnne występy, a może i my częściej do nich zespołowo — na parę występów — a nie, jak bywało najczęściej w przeszłości: indywidualnie i na stałe.

Zaraz, zaraz: lecz przecież to gmach opery, ona tu gospodarzem! Więc pięknie, więc doskonale: dajmy może spokój planom łódzkiego festiwalu operetki, festiwalu od którego zachowaj nas Panie! (Panie Ministrze! — oczywiście). Ten wspaniały i o takich możliwościach gmach sugeruje myśli o przeglądzie dorocznym polskich scen operowych. A niezapomniany pokaz techniczny nie da chyba spokoju tym ludziom teatru, którym się marzą wielkie, współczesne inscenizacje dramaturgiczne. Więc chyba nie tylko opera? Oto scena dla Dejmka, ciekawe, czy dysponując nią, porzuciłby Łódź dla Warszawy?

Na tych rozważaniach mija spektakl, im poświęcone są rozmowy w przerwach. I wszyscy są zgodni: teraz dopiero zaczną się kłopoty i „troski wzrostu". Repertuar! Uzupełnianie zespołów! Reżyserzy! Organizacja widowni! Wszyscy mówią o tym i tylko o tym — a część jeszcze i o oczywistych konsekwencjach tego wyjątkowego zbogacenia się.

Istotnie, dla naszych łódzkich władz wynikną z tego wzbogacenia same troski — takie teatralne i takie ogólne: bowiem — „noblesse oblige" — i historia naszego łódzkiego teatru może nam przypomnieć anegdotę o Maniusiu — jak mawia pan Waldorff — który nagle wszedł w posiadanie eleganckiego fraka. Czego tylko do fraka nie musiał dokupić!

Kończy się spektakl, grzmią oklaski, przeznaczone dla wykonawców — lecz i w pierwszym rzędzie — dla tego tak wspaniałego symbolu awansu kulturalnego naszego miasta. Te oklaski i wrażenia z wieczoru pierwszej premiery w Teatrze Wielkim będą brzmiały długo, nie pozwolą na obniżenie lotu naszych planów, na niższe kalkulacje i skromniejsze ambicje.

I to jest chyba najważniejsze. Teatr Wielki — zobowiązuje łódzkie teatry do śmielszych marzeń o wielkości i do odważniejszego sięgania po laury.

WACŁAW BILIŃSKI

NAGRODY M. ŁODZI

Jak rokrocznie, i tym razem, w 22 rocznicę wyzwolenia Łodzi, przyznano nagrody w dziedzinie nauki i upowszechnienia kultury. Wśród laureatów znaleźli się:

Dr ALEKSANDER ZAWADZKI, profesor Uniwersytetu Łódzkiego — za osiągnięcia w dziedzinie nauk matematyczno-fizycznych.

Dr JAN LEŃKO, profesor Wojskowej Akademii Medycznej — za osiągnięcia w dziedzinie nauk medycznych.

Dr WŁADYSŁAW KUCZYŃSKI, profesor Politechniki Łódzkiej — za osiągnięcia w dziedzinie nauk technicznych.

KAROL GRABOWSKI, kierownik Wydziału Kultury i Oświaty w ZG Zw. Zaw. Prac. Przem. Włók., Odzież. i Skórzanego — za osiągnięcia w dziedzinie upowszechnienia kultury.

Laureatom tegorocznych nagród serdeczne gratulacje!

LISTY DO REDAKCJI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE

Z dużym zainteresowaniem, a trochę i z zaskoczeniem, przeczytałem niedawno w jednym z numerów „Odgłosów" ciekawą wypowiedź pana dr Stanisława Kaszyńskiego na temat ocalałych płyt z przedwojennego pomnika Kościuszki.

Swego czasu, kiedy przyszło mi przez szereg miesięcy pełnić obowiązki kierownika Wydziału Kultury Prez. RN m. Łodzi, przez szczęśliwy przypadek odnalazłem te płyty, ze szczętem zapomniane, w składziku gospodarczym Prezydium. „Znaleziskiem" tym zainteresowałem ówczesną Komisję Plastyczną, żywo pracującą pod buławą nieodżałowanego przedwcześnie zmarłego artysty-plastyka i społecznika Cz. Sadowskiego (człowiek eksplodujący ciekawymi pomysłami: on to wysunął m. in. projekt budowy galerii sztuki, odnowienia Piotrkowskiej i in.) oraz prasę łódzką. W ślad za tym ukazał się w „Dzienniku Łódzkim" przepiękny, z pasją pisany artykuł M. Jagoszewskiego. Powiadamiał on opinię społeczną o odnalezieniu płyt i podjął na nowo, wysunięty tuż po wojnie, lecz rychło potem pod naciskiem pilniejszych potrzeb odłożony ad calendas graecas, projekt odbudowy pomnika, co w ostatecznym biegu wypadków dało, jak wiadomo asumpt do historycznej, tym razem sprężyście sfinalizowanej uchwały Łódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu.

Wspominam o tych „starych dziejach", by uzasadnić swe moralne prawo do zabrania po latach głosu w dyskusji na temat dalszych losów ocalałych płyt.

W okresie dość długim, kiedy zbierano fundusze i złom i zażarcie dyskutowano nad ostateczną koncepcją pomnika (konny — klasycystyczny czy też rekonstrukcja dzieła Lubelskiego?), płyty te, na prośbę ówczesnego dyr. Archiwum Wojewódzkiego, posła R. Kaczmarka, wmontowane zostały w ścianę Ratusza Miejskiego, od strony dziedzińca — i znajdowały się tam przez rok czy nawet dłużej. Zdaniem naszym i wspomnianej już Komisji Plastycznej empirowy dziedziniec Ratusza stanowił dla tych monumentalnych płaskorzeźb znakomite tło, zaś bezpośrednie sąsiedztwo miejsca bestialskiej martyrologii Spiżowego Naczelnika dawały lokalizacji dodatkową rangę symbolu. Jak pamiętam, ówczesna dyrekcja Archiwum z głębokim żalem oddawała potem te płyty dla celów bezwzględnie nadrzędnych: miały zostać wmontowane w swe właściwe miejsce na cokole odbudowywanego pomnika. Jak teraz widzę z dyskusji, realizatorzy rekonstrukcji uznali za... bardziej opłacalne zrekonstruowanie również i... ocalałych płyt.

Pomysł Kaszyńskiego: umieszczenia wciąż jeszcze bez miejsca na ziemi, płyt u wlotu Alei Kościuszki — uważam za ciekawy i dość szczęśliwy, nie mniej wydaje mi się — i dlatego właśnie tamtą lokalizację przypominam — że moralne prawo pierwszeństwa ma tu jako dawny, cóż, że przejściowy, posiadacz — Archiwum Wojewódzkie. Naturalnie, o ile zechce z tego prawa korzystać.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

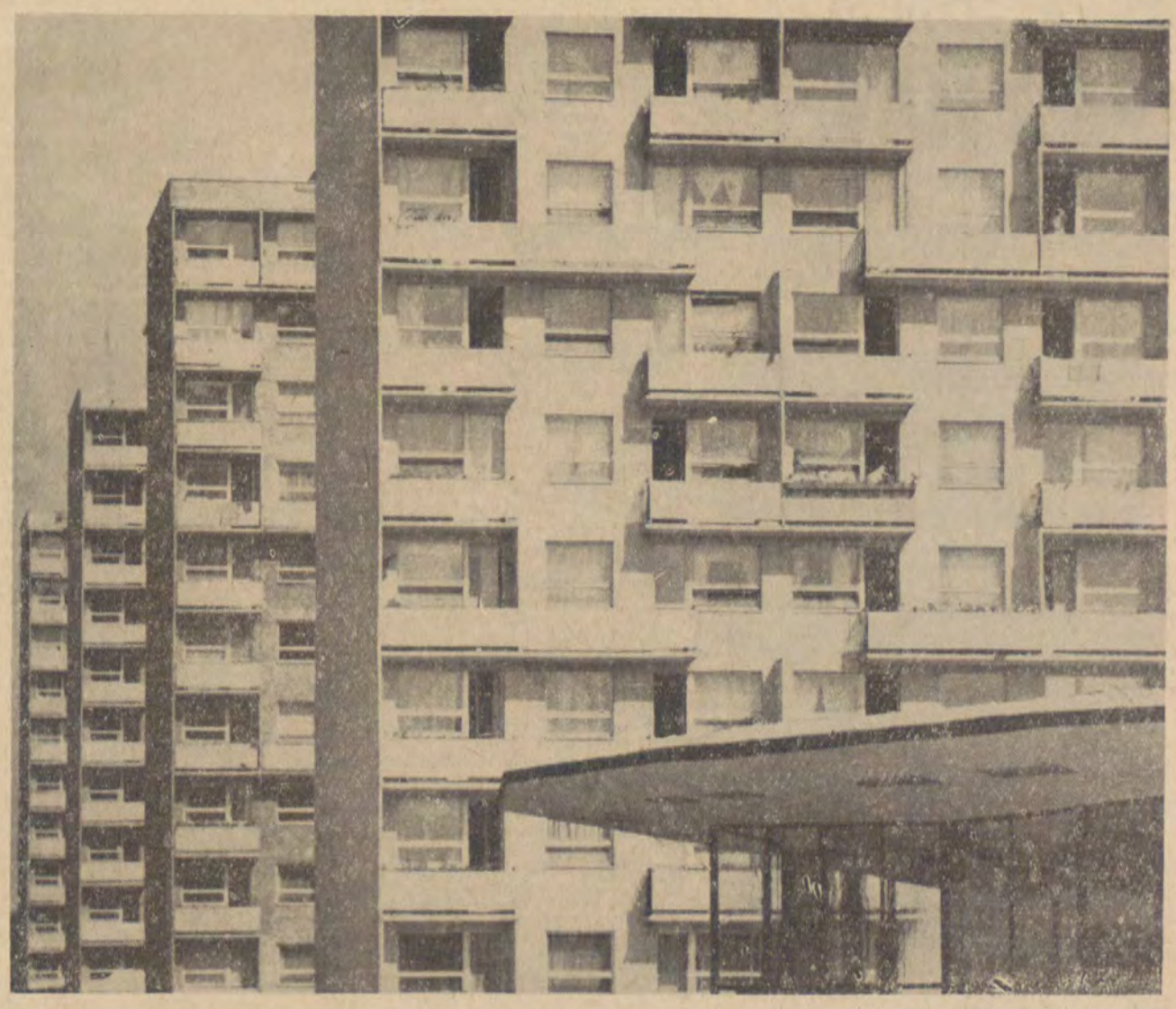

BOGDA MADEJ

Ponieważ wszyscy jesteśmy sąsiadami

Sąsiedzi... Jeszcze jeden przykład wyrazu, który radykalnie zmienił swoje znaczenie. Dawniej sąsiad był właścicielem przyległych gruntów, wpadał od czasu do czasu na pogawędkę i wódeczkę, razem z innymi zajeżdżał zimą hucznym i gwarnym kuligiem. Dzisiaj, z tym wyrazem kojarzy się głośna prywatka do późnej nocy, ryczący telewizor z filmem, w którym polski lektor przekrzykuje się z francuskimi aktorami, wahadłowy ruch lampy spowodowany tupotem stóp odzianych w ciężkie buciory, małżeńska kłótnia i to wszystko, co można jeszcze usłyszeć przez cieniutkie ściany, a po noć i rury w łazience, spółdzielczych bloków.

Sąsiad... Dawniej były wprawdzie spory o miedzę i mury graniczne, ale czym to wszystko wobec wspólnej używalności kuchni, łazienki i korytarza? Człowiek XX wieku jest nerwowy, do rozpoczęcia waśni i sporów starczy drobiazg. Ciągnie się to czasem latami, skłócone strony stają przed sądem, aby tam znaleźć rozwiązanie często błahej przyczyny konfliktu.

* * *

— Otwieram posiedzenie Społecznej Komisji Pojednawczej przeciwko panu W., przewodniczącemu Komitetu Domowego posesji nr 22, ze skargi pani F.

Skarga jest długa, bardzo szczegółowo przedstawia dzieje komórki, której właściwie nie ma. Pani F. od kwietnia 1965 r. zabiega o podział tzw. pomieszczenia gospodarczego, w którym w chwili obecnej znajduje się jej węgiel i sprzęt dozorczyni. Komitet Domowy dawniej wyraził zgodę, potem doszedł do wniosku, żeby pomieszczenie gospodarcze nie dzielić, bo nie będzie gdzie składać potrzebnego sprzętu. Okazuje się, że zwyczajna sprawa najzwyczajniejszej komórki może być bardzo zawiła. Stanowisko sąsiadów, stanowisko Komitetu Domowego, stanowisko administratorki.

— Proszę państwa, proszę mówić zgodnie z prawdą. Przypominam, że Społeczna Komisja Pojednawcza jest tu po to, żeby wam pomóc rozstrzygnąć waszą sprawę... — przewodniczący dokończył oficjalnej formułki i zaprosił „strony" do złożenia wyjaśnień.

Fot. M. Menzel

„DWA POKOLENIA"

Dobrze się stało, że spór o komórkę pani F. trafił do Społecznej Komisji Pojednawczej, która istnieje po to, by podobne sprawy rozpatrywać. Inicjatywa powołania SKP została wysunięta na IX Łódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR już w kwietniu 1962 r. Stwierdzono bowiem, że około 40 proc. spraw z oskarżenia prywatnego, rozpatrywanych w sądach lub kolegiach karno-administracyjnych, dotyczyło sporów wynikłych na skutek drobnego naruszenia norm współżycia społecznego. Ponieważ spory często kończyły się ugodą, wyciągnięto słuszny wniosek, aby odciążyć sąd i wszelkiego rodzaju „sąsiedzkie pyskówki" oddać w ręce najbardziej zainteresowanych, a więc samych mieszkańców. Taka była geneza Społecznych Komisji Pojednawczych.

Inicjatywa chwyciła i już w końcu 1962 r. na terenie Łodzi działało 158 SKP. Trzeba tu podkreślić pionierską rolę naszego miasta, które zapoczątkowało tę społeczną działalność.

Że przykład Łodzi znalazł oddźwięk w kraju świadczyły nie tylko częste informacje w prasie i radio o łódzkim eksperymencie. W lipcu 1965 r. weszła w życie ustawa sejmowa z dnia 10 marca 1965 r. o powoływaniu SKP. Wzorcowy regulamin, który ustawie towarzyszył, w niemałym stopniu opierał się na łódzkich doświadczeniach.

Według stanu na dzień 1 marca 1966 r. na terenie Łodzi działało już 230 Komisji, przy czym najwięcej, bo 61 pracuje w dzielnicy Górna, najmniej — 36 na Widzewie. W okresie swojej działalności Komisje rozpoznały łącznie 2.297 spraw z czego pojednaniem stron zakończyło się 1.997, co stanowi 87 proc. ogółu.

Powyższe dane nie ilustrują jednak całości prac prowadzonych przez SKP. Często wystarcza rozmowa członków Komisji z powaśnionymi stronami i wspólne usunięcie przyczyny konfliktu. W takich wypadkach do rozprawy w ogóle nie dochodzi.

Czego dotyczą skargi wpływające do Społecznych Komisji Pojednawczych?

Najwięcej, bo aż 41 proc. całości, stanowią spory wynikłe z powodu korzystania ze wspólnych pomieszczeń, dalej, i tylko 19 proc., to skargi z powodu niszczenia własności społecznej i obiektów służących do wspólnego użytku, potem, już znacznie mniej spraw z powodu złośliwego dokuczania, konfliktów administracji domów z mieszkańcami, zakłóceń spokoju publicznego, spraw o pomówienia i obrazy, naruszanie regulaminów domowych itp.

Do Komisji zgłaszano również sprawy nie objęte poprzednim regulaminem, bardziej osobiste, jak np. spory małżeńskie. Pomyślne załatwienie takich właśnie spraw jest przedmiotem dumy członków niektórych komisji. Ostatecznie świadczy to nie tylko o cennej umiejętności odpowiedniego przemawiania do rozsądku zacietrzewionych małżonków, świadczy przede wszystkim o wzroście zaufania mieszkańców do SKP i zwiększania się ich autorytetu. Zgłaszanie tego typu spraw jest dowodem, że członkowie z SKP zostali wyłonieni nie na drodze bezmyślnego głosowania, ale dzięki świadomemu i przemyślanemu wyborowi mieszkańców.

Ludzie, którzy kierują swoje sprawy do SKP, nie chcą ukarać swego przeciwnika, chcą tylko dowieść swojej słuszności. Dlatego większa część spraw kończy się pojednaniem, i najczęściej nie znajdują one ponownego epilogu w kolegiach czy sądzie. Przyczynia się do tego w znacznym stopniu fakt, że oprócz rozpatrzenia konfliktu przez członków Komisji stara się ona zawsze usunąć istotną przyczynę sporu. I jest to już realna pomoc dla mieszkańców. Bywa, że często sąd czy kolegium odsyła niektóre sprawy właśnie do SKP. Ma to również swoją wymowę materialną, która przemawia na korzyść tych ostatnich. Komisje z reguły nie stosują żadnych kar pieniężnych. Wprawdzie nowy regulamin dopuszcza takie możliwości, ale członkowie komisji uważają, że ich działalność powinna przede wszystkim ograniczać się do roli wychowawczej.

Kim są członkowie SKP, ci „łódzcy sędziowie pokoju"? Cyfry mogą dostarczyć tylko danych ogólnych. Po nowych wyborach w styczniu 1966 r. a więc po 3-letnim okresie działalności SKP, pracują w nich ogółem 1793 osoby. Z tej liczby 122 członków posiada wykształcenie wyższe, a 783 wykształcenie średnie. Do PZPR należy 808 członków, ilościowo największą grupę stanowią bezpartyjni, których jest 957. W SKP działa 1274 mężczyzn i 511 kobiet, skład socjalny — 792 robotników, 9 chłopów, 51 przedstawicieli inteligencji społecznej, pozostali członkowie to renciści, rzemieślnicy, przedstawiciele wolnych zawodów itp. Około 50 proc. członków Komisji jest w wieku powyżej lat 50. Są to ludzie legitymujący się długoletnim stażem pracy społecznej i dużym doświadczeniem życiowym. Ponad 300 sprawowało bądź sprawuje funkcje ławników, względnie członków kolegiów karno-administracyjnych. I — jak się rzekło — cyfry mogą dostarczyć tylko danych ogólnych, z których można wysnuć pewne wnioski, że np. wciąż małe jest zainteresowanie życiem społecznym wśród inteligencji, że w dziedzinie społecznej pracy większą popularnością cieszą się mężczyźni, choć kto wie, czy nie tłumaczy się to po prostu brakiem czasu zagonionych w pracy i w domu kobiet, że decyduje nie wiek, a więc nie najstarsi z mieszkańców wybierani są do komisji, ale przede wszystkim autorytet w swoim środowisku. Ale czy przez to dowiadujemy się czegokolwiek o ludziach, którzy rozpatrują nasze podania, przekonują, tłumaczą, chodzą na lokalne wizje, dyżurują co tydzień i martwią się o nie swoje sprawy? Społecznicy? Na pewno. Ale czy wszyscy nauczyliśmy się już ich doceniać? Przecież często można jeszcze spotkać się z twierdzeniem, że nikt bez powodu nie angażuje się do pracy społecznej, że przy cudzym interesie kuje się swoje żelazo. Nonsens bez żadnego pokrycia. Mówi się, że w pracy społecznej niektórzy szukają wyżycia. Może to i prawda, ale chyba niewielka. Członkowie Komisji, z którymi rozmawiałam, pracowali zawodowo, mieli swój dom i rodziny. A przecież nikt mnie nie przekona, że trzykrotne zbieranie się z powodu jednej sprawy jest najprzyjemniejszą formą wyładowania swojej energii. Tak było w konkretnym przypadku sporu o komórkę pani F. Dwa razy nie stawił się pan W., przewodniczący Komitetu Domowego, który stwierdził, że przecież ma telefon i komisja może do niego zadzwonić. Wobec tego góra poszła do Mahometa i trzecie posiedzenie komisji odbyło się już w miejscu zamieszkania niesfornego przewodni-

TADEUSZ TELMA

MISJA KRYPTONIM „FRESTON"

Bankructwo antyradzieckiej polityki rządu londyńskiego stało się w momencie decydującej ofensywy Armii Radzieckiej w roku 1944 przyczyną podjęcia przez władze brytyjskie rozpaczliwej próby (inspirowanej zresztą przez działaczy emigracyjnych) jeszcze jednej penetracji polskiego podziemia. Przypominamy mało znany epizod tamtych dni, odsłaniający beznadziejność tych zakulisowych zabiegów.
REDAKCJA

Jest trzecia dekada grudnia 1944 roku. Porucznik „Roman" — szef zrzutów Inspektoratu Częstochowskiego AK — już od dwóch dni gorączkowo przygotowywał się do przejęcia nowego zrzutu. Tym razem niepokój jego był szczególnie uzasadniony. Samolot, który trzeba było przejąć, miał dostarczyć na swoim pokładzie grupę oficerów angielskich, udających się w specjalnej misji do Polski.

Kiedy na miejsce przewidywanego pojawienia się samolotu przybył pluton osłonowy z batalionu mjr „Cichego", porucznik „Roman" uspokoił się nieco i razem już teraz oczekiwano ważnego wydarzenia.

26 grudnia 1944 roku, w kilkanaście minut po godzinie 21, po długotrwałym i niebezpiecznym locie z bazy włoskiej w Brindisi, dotarł nad miejscowość Bystrzanowice (podobwód AK „Iglarnia"), pow. częstochowskiego wojskowy samolot brytyjski, przywożąc na swym pokładzie pięciu oficerów angielskich.

Na czele tej tajemniczej misji stał podpułkownik Hudson, a w skład jej wchodził również oficer pochodzenia polskiego.

W tym miejscu nasuwa się zasadnicze pytanie. Z czym przyjeżdżali do Polski — dosłownie w ostatnich dniach okupacji hitlerowskiej — oficerowie angielscy? Aby na to pytanie odpowiedzieć musimy cofnąć się nieco w czasie.

Według ustaleń płk. Jana Zamojskiego, emigracyjny rząd polski w Londynie kilkakrotnie zwracał się do rządów angielskiego i amerykańskiego o wysłanie do Polski specjalnej misji wojskowej. Pierwsze próby w tym zakresie poczyniono już w połowie 1943 r. Chodziło wtedy o to, aby powstanie powszechne przygotowywane przez d-two AK w kraju, w oparciu o jednoczesne działania wojsk alianckich — było lepiej skoordynowane. Miała się do tego przyczynić grupa oficerów angielskich bezpośrednio uczestnicząca w tych wydarzeniach w kraju; ponadto oficerowie ci mogliby zabezpieczyć zaopatrzenie dla oddziałów AK ze strony aliantów, jako, że ich informacje o rzeczywistych potrzebach byłyby na pewno skuteczniejsze. Kiedy jednak przedstawiciele rządu angielskiego zorientowali się, że propozycje wysłania wspomnianej misji zahaczają o sprawy polityczne — takie jak stosunki pomiędzy rządami Mikołajczyka a ZSRR — odmówili jej wysłania.

Rząd polski w Londynie nie ustawał jednak w wysiłkach. W dalszym ciągu sondowano opinię — wśród czynników rządowych angielskich — na temat wysłania misji oraz indagowano samego Churchilla. Mikołajczyk zwrócił się też w tej sprawie do prezydenta Roosevelta.

„W oczekiwaniu na przekroczenie przez wojska radzieckie byłej granicy z 1939 r. — pisze J. Zamojski — a zwłaszcza po tym fakcie, starania o czynne zaangażowanie się aliantów anglosaskich na terytorium Polski, a także na ziemiach Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi, wokół których narastał konflikt polsko-radziecki, przybrały na sile. Stronie polskiej zależało na tym z wielu względów. Szukała ona dowodów pełnego poparcia ze strony aliantów, co miało niebagatelne znaczenie dla autorytetu rządu emigracyjnego wśród społeczeństwa w kraju. Szukała również asekuracji wobec Związku Radzieckiego. Koncepcje polskie szły zresztą w niektórych wypadkach znacznie dalej, aniżeli wysłanie misji obserwacyjno-łącznikowej. Wśród pewnych kół Komendy Głównej AK wysuwano nawet postulat anglosaskiej okupacji Polski". (Por. J. Zamojski: „Misja Freston". W: Z najnowszych Dziejów Polski (materiały i studia z okresu II wojny światowej), Nr. IX, 1965, s. 207—213).

Wysłania misji do Polski domagał się nie tylko rząd polski w Londynie. Podobne propozycje wysuwali i czołowi działacze podziemia. Np. 1. I. 1944 r. kierownictwo PPS — WRN wysłało z kraju list do Labour Party, w którym między innymi żądano natychmiastowego przysłania do Polski misji, po wkroczeniu na nasze ziemie wojsk radzieckich. Z dalszej treści listu wynikało, że misja pomogłaby podziemiu w odbudowie administracji polskiej oraz objęciu władzy przez rząd emigracyjny. Podobne postulaty wysuwało również dowództwo Armii Krajowej oraz poszczególne okręgi tej organizacji.

Mimo tych nacisków, rząd angielski w dalszym ciągu nie podejmował pozytywnej decyzji, wychodząc ze słusznego chyba założenia, że nie leży to w interesie dobrosąsiedzkich stosunków Wielkiej Brytanii i ZSRR.

Pewnym jednak wyłomem było wysłanie do kraju (za dużym poparciem wpływowych kół brytyjskich) — w kwietniu 1944 roku J. Retingera, blisko związanego z rządem Mikołajczyka. Cel wizyty Retingera w Polsce jest nadal niewyjaśniony. Ze spotkania, jakie w Warszawie odbył z nim Z. Zaremba — czołowy działacz PPS — WRN — wynika, że sądował on opinie na temat możliwości jakiegoś kompromisu pomiędzy podziemiem, orientującym się na rząd polski w Londynie, a grupami reprezentującymi lewicę polską.

Ponieważ działacze podziemia wierzyli głęboko w zbawcza rolę obcej misji w Polsce, zapewne, wśród innych kwestii prosili również Retingera o poparcie ich starań w tym zakresie wobec sfer rządzących Londynu. Nieznane nam jest dokładnie stanowisko Retingera w omawianej sprawie. Faktem jest, że wkrótce po jego powrocie do Anglii z trzymiesięcznego pobytu w Polsce, rząd brytyjski zmienił nagle swoją dotychczasową negatywną postawę. O ile słuszne jest przypuszczenie, że Retinger odegrał w tym zakresie pozytywna rolę, to wytłumaczalna byłaby (przynajmniej częściowo) nowa postawa rządu angielskiego mianowicie nagłe podjęcie decyzji wysłania misji. Decyzję taką podjęto w końcu lipca 1944 roku, jednak ze względu na wybuch powstania w Warszawie, odroczono jej realizację na późniejszy termin. Rozważano nawet czy po klęsce powstania warszawskiego jest jeszcze sens wysłania misji i czy w nowych warunkach znacznego rozbicia podziemia, zwłaszcza AK — będzie ona w stanie spełnić jakąś rolę. Szalę przeważyły jednak żądania gen. Sosnkowskiego, ówczesnego Naczelnego Wodza i ostatecznie rząd brytyjski zaakceptował poprzedni swój projekt.

Wykonanie tego trudnego zadania powierzono specjalnej organizacji angielskiej, występującej pod nazwa „Special Operations Executive", którą kierował gen. Colin Gubbins; na czele zaś działu: polskiego, węgierskiego i czechosłowackiego stał ppłk Harold Parkins. Parkins dobrał odpowiednią grupę oficerów armii angielskiej, których częściowo przeszkolono w Londynie oraz wydano im odpowiednie instrukcje. Według nich — zadaniem misji w Polsce miało być tylko obserwowanie działalności podziemia i przesyłanie odpowiednich informacji do Londynu. Misja — zalecała instrukcja — nie powinna wdawać się w potyczki z Niemcami, chyba, że zostanie nagle zaskoczona. O zadaniach misji poinformowano Komendę Główna AK oraz Ministerstwo Spraw Zagranicznych ZSRR. Ta ostatnia informacja potrzebna była na wypadek zetknięcia się misji z Armią Czerwoną. Podobnej treści instrukcje przekazane były również przez Sztab Naczelnego Wodza gen. Okulickiemu. Donoszono w nich, iż „ze względu na ogólna sytuację międzynarodowa, rządowi brytyjskiemu bardzo zależy na szybkim otrzymaniu własnego naświetlenia obecnej sytuacji w kraju. Misja brytyjska, która obecnie przybyła na teren Jodły (Kryptonim Okręgu Kieleckiego AK), otrzymała zlecenie dostarczenia takiego sprawozdania".

Jak nietrudno zorientować się z powyższych rozważań, Brytyjczykom chodziło więc głównie o to aby misja za pośrednictwem własnych obserwacji — z wykluczeniem czynników pośrednich — przedłożyła władzom angielskim dokument o rzeczywistej sytuacji w Polsce.

Po londyńskich przygotowaniach, w połowie października 1944 roku wspomniani oficerowie odlecieli samolotem do Włoch. Zakwaterowano ich w niewielkiej wiosce Selwe niedaleko bazy angielskiej mieszczącej się w Brindisi. Tutaj nastąpiły przygotowania techniczne oraz sformułowano ostatecznie grupę pod względem personalnym.

Od tego czasu oczekiwano dogodnego momentu do startu samolotu. Nieoczekiwanie jednak znów sprawa odlotu misji do Polski poważnie się odwlokła. O ile wierzyć wspomnieniom P. Kempa, (Por. P. Kemp: „No colours or Crest" Londyn 1958, s. 249 i dalsze), to powodem tego opóźnienia było przesilenie rządowe w emigracyjnym rządzie polskim i zastąpienie Mikołajczyka na stołku prezesa przez T. Arciszewskiego. W ostateczności zdecydowano się na odlot misji w dniu 26 grudnia 1944 r. w godzinach popołudniowych. Będąc już nad Polską, na skutek złych warunków atmosferycznych, głównie dużych mgieł, lotnik nie mógł odnaleźć wyznaczonej do odbioru zrzutu miejscowości. Dopiero po czwartym okrążeniu skoczkowie zaryzykowali wyskoczenie, jednak samolot leciał tak nisko, że nie zdołali już dokładnie przygotować się do lądowania i przy nagłym zetknięciu ze zmarzniętą ziemią odnieśli lekkie obrażenia.

Natychmiast po przejęciu misji umieszczono ja w pobliskim dworze Potockich, gdzie Anglicy przyjmowani byli przez dzierżawcę majątku pana Grabkowskiego i komendanta podobwodu AK por. J. Dz'tkowskiego ps. „Drużba". Po krótkim odpoczynku i ukryciu większości sprzętu przywiezionego przez gości, pluton osłonowy

cącego i pani F. Potem okazało się, że trzeba będzie pofatygować się jeszcze raz, bo do powzięcia decyzji w sprawie komórki, trzeba zwołać posiedzenie całego Komitetu Domowego. No i gdzież tu miejsce na własny interes członków SKP? Jedno jest pewne: ci ludzie dostrzegają nie tylko siebie i swoje sprawy, dostrzegają przede wszystkim sprawy mieszkańców swojego bloku, poświęcają im swój czas i troszczą się o to, żeby sąsiedztwo nie było tylko złem koniecznym.

A jak dostrzega się ich pracę? Przy każdej Radzie Narodowej istnieje tzw. Zespół Koordynacyjny do spraw Społecznych Komisji Pojednawczych, w skład którego wchodzą przedstawiciele rad narodowych, organów MO, sądu, Ligi Kobiet. Prezydia dzielnicowych rad narodowych mają zabezpieczyć w budżetach kredyty na wydatki związane z zaopatrywaniem Komisji w materiały biurowe. W odpowiednich zarządzeniach ustalone zostały formy pomocy dla SKP ze strony Sądu, wyrażające się w udziale sędziów w szkoleniu członków SKP oraz pomocy sądów w interpretacji przepisów prawnych. Szkolenie rzeczywiście było, członkowie Społecznej Komisji Pojednawczej nr 2 z Polesia uczestniczyli w dwóch zebraniach. Ale i na tym rzecz zakończono. Podczas 5-letniej ich pracy w Społecznych Komisjach Pojednawczych nikt z zespołu koordynacyjnego nie miał ochoty sprawdzić, jak teoria wszczepiona podczas szkolenia jest stosowana w praktyce. Rada interesuje się działalnością SKP szczególnie w okresie sprawozdawczym, kiedy potrzebne są podliczenia i wykazy. Na załatwienie nie swoich przecież spraw członkowie komisji muszą poświęcać czasem w dzielnicowych radach narodowych wiele niepotrzebnych godzin. A przecież są to placówki, które reprezentując te same cele i dążenia, powinny ściśle ze sobą współpracować. Członkowie SKP nr 2 do sporządzania protokółów z posiedzeń używają papieru zakupionego za własne pieniądze. Na pewnym ważnym zebraniu padło dość istotne pytanie: — czy członków najlepiej pracujących komisji wytypowano do nagród? I krótka, acz znamienna odpowiedź — nie.

Wniosków z przedstawionych tutaj faktów nie trzeba wyciągać. Myślę tylko, że częściej trzeba pomyśleć o tych ludziach i ich sprawach, chociażby z tej przyczyny, że wszyscy jesteśmy sąsiadami i nie wiadomo, czy nie będziemy musieli skorzystać kiedyś z pomocy Społecznych Komisji Pojednawczych.

Prof. dr Jerzy Kroh, autor licznych i cenionych prac z dziedziny chemiluminescencji i chemii radiacyjnej jest głównym twórcą Katedry Chemii Radiacyjnej i jej troskliwym kierownikiem. Studia chemiczne ukończył w 1947 r. na Politechnice Łódzkiej, a w 1950 r. — fizyczne na Uniwersytecie Łódzkim. W tym samym roku 1950 zdobył doktorat, a w trzy lata później habilitował się w zakresie chemiluminescencji na Politechnice Łódzkiej. W 1958 r. uzyskał tytuł doktora nauk chemicznych i wyjechał do Anglii a potem do Kanady, by specjalizować się w zakresie chemii radiacyjnej. Jego praca o radiolizie wody ogłoszona w Anglii przyniosła mu tytuł doktora filozofii na Uniwersytecie w Leeds oraz nagrodę J. B. Cohena. W dniu 24. IX. 1963 r. doc. Kroh otrzymał nominację na profesora nadzwyczajnego.

Profesor dr Jerzy Kroh był uczestnikiem kilkunastu międzynarodowych konferencji poświęconych chemii radiacyjnej, a ostatnio został przewodniczącym Międzynarodowej Konferencji im. Millera, która odbędzie się tym razem w Polsce (we wrześniu w Kazimierzu nad Wisłą; dotychczas miejscem jej była tylko Anglia lub Francja).

Prof. dr Jerzy Kroh jest członkiem Komisji Zastosowań Promieniowań Jonizujących przy Pełnomocniku Rządu do spraw Pokojowego Wykorzystania Energii Jądrowej. Jest członkiem Komisji Izotopowej V Wydziału PAN, przewodniczącym Międzyresortowej Komisji do spraw Zastosowania Promieni Jonizujących w Przemyśle Spożywczym oraz członkiem Komisji Nowych Technologii w Przemyśle Spożywczym przy Komitecie Nauki i Techniki, jak również członkiem grupy roboczej ONZ FAO.

W styczniu 1966 roku prof. dr Jerzy Kroh otrzymał nagrodę naukową m. Łodzi za osiągnięcia w dziedzinie nauk chemicznych.

ŚMIERTELNY WRÓG CZY PRZYJACIEL?

Dalszy ciąg ze str. 1

chowywaniem. Różne są sposoby tego drugiego. Nasze babcie i mamy specjalizowały się w rozlicznych marynatach, kompotach, przetworach. Wiedziały jak najlepiej przechowywać świeże owoce, warzywa. Dziś w znacznej mierze wyręcza je przemysł. Zapobiega się psuciu żywności przez jej zamrażanie lub też gotowanie, zamykanie w hermetycznych opakowaniach (puszki, słoiki). Aby produkty żywnościowe nie psuły się, trzeba w nich unieszkodliwić, zabić bakterie, (to znaczy wyjałowić) i odizolować je (produkty) od otoczenia, by nie uległy wtórnemu zakażeniu. Właśnie w tym celu stosuje się podgrzewanie do wysokich temperatur, niszczących bakterie. Niestety — przy okazji pokarm traci wiele witamin, dość znacznie zmienia smak. Ale efekt wyjałowienia można także uzyskać inaczej: poddając pokarm działaniu promieniowania jonizującego. Można w ten sposób konserwować żywność przy niewielkiej stracie witamin i — w niektórych przypadkach — małych zmianach smakowych. I tak np. napromieniowane czarne jagody zachowują swą świeżość przez okres kilku tygodni. Poddane działaniu promieniowania jonizującego ziemniaki nie kiełkują w czasie przechowywania (stosują już tę metodę w praktyce Związek Radziecki i Kanada). Właściwie każdy produkt żywnościowy można konserwować za pomocą takiego promieniowania. Eksperymenty są więc bardzo liczne i wielokierunkowe. W doświadczeniach prowadzonych w Katedrze Chemii Radiacyjnej i Instytucie Techniki Radiacyjnej Politechniki Łódzkiej czyni się na przykład próby konserwacji mięsa, wędlin, piwa.

* * *

Promieniowanie jonizujące niszczy także szkodniki i pasożyty. Nazywa się to radiacyjną dezynsekcją zbóż i nasion. Łódzka Katedra przeprowadzała eksperymenty zabijania w ten sposób wołka zbożowego. I chyba właśnie ta metoda będzie służyć w przyszłości do zwalczania na większą skalę rozmaitych szkodników.

Napromienianie nasion okazało się bardzo pożyteczne także i z innego względu. Zaobserwowano, że o ile duże dawki promieniowania jonizującego hamują wzrost rośliny lub całkowicie go uniemożliwiają, o tyle mniejsze powodują wzrost bardziej intensywny. I znowu przykład eksperymentu łódzkiego (wykonanego we współpracy z Katedrą Koncentratów Witaminowych i Odżywek PŁ): rzodkiewki, których nasiona poddane były przedsiewnemu napromieniowaniu, zawierały więcej witaminy C. Zabieg ten zastosowany do ziarna zboża powodował, że rosło ono bardziej bujnie.

* * *

Współczesny człowiek obraca się w świecie tworzyw sztucznych, czyli polimerów. I bardzo je sobie chwali. Są tanie, lekkie, nie tłuką się. Mają jednak bardzo istotną wadę: na ogół źle znoszą wysokie temperatury, miękną pod ich wpływem, tracą kształt, czasem pękają. Okazuje się, że polimery można otrzymywać nie tylko na drodze chemicznej, lecz także przy pomocy metod radiacyjnych (to znaczy stosując promieniowanie jonizujące). Niekiedy uzyskane w ten sposób tworzywo sztuczne (np. politylen jest odporne na wysokie temperatury). Nawet jeśli polimer powstał na drodze chemicznej to też można wtórnie poprawiać jego własności, poddając napromieniowaniu. Katedra Chemii Radiacyjnej Politechniki Łódzkiej prowadzi liczne prace w dziedzinie radiacyjnej polimeryzacji i modyfikacji polimerów.

* * *

Praca chemika radiacyjnego zajmującego się polimerami przypomina czasem zabiegi troskliwego ogrodnika, który na dzikich pędach szczepi szlachetną odmianę. Nazwano nawet pewien typ tej pracy szczepieniem radiacyjnym. Polega ona na tym, że na jednym z polimerów „szczepi się" drugi, w postaci bardzo trwałej powłoki. Naturalnym polimerem jest np. celuloza, drewno. Jeśli kawałek drewna nasyci się styrenem i podda napromieniowaniu, to drewno łączy się na trwałe z owym styrenem i posiada znacznie większą wytrzymałość mechaniczną (nie jest kruche) oraz odporne jest na działanie czynników atmosferycznych, (nie gnije). Ciekawym i nie zakończonym jeszcze eksperymentem jest np. próba konserwacji za pomocą tej metody fragmentów starych świątków i zniszczonych przez korniki próbek drewna z dawnego, zabytkowego budownictwa sakralnego. Inne eksperymenty prowadzone na terenie Katedry i Instytutu polegają na utwardzaniu przy pomocy szczepienia radiacyjnego drewna przeznaczonego do celów przemysłowych.

* * *

Zdolność promieniowania jonizującego do wyjaławiania przedmiotów znajduje oczywiście zastosowanie w medycynie. Można więc sterylizować radiacyjnie zestawy do transfuzji krwi, strzykawki do jednorazowego użycia, środki opatrunkowe. Szeroko stosuje się tę metodę na przykład w Anglii. Również i w Łodzi zaczynamy prowadzić takie prace.

* * *

Katedra Chemii Radiacyjnej Politechniki Łódzkiej, o której była tu kilkakrotnie mowa, jest jedyną w Polsce. W kwietniu obchodzić będzie pięciolecie swego istnienia. Zdążyła w tym czasie wykształcić 6 doktorów i otworzyć przewody doktorskie 7 osobom. Rokrocznie opuszczają jej mury magistrowie-inżynierowie ze specjalnością radiacyjną, zdolni podjąć pracę w tej nowej, ciekawej i potrzebnej dziedzinie. Kierownikiem Katedry jest prof. dr Jerzy Kroh, który jednocześnie pełni funkcję dyrektora w powołanym do życia w maju ub. roku Instytucie Techniki Radiacyjnej Politechniki Łódzkiej. Katedra i Instytut dzielą się gmachem i aparaturą. Instytut nie prowadzi zajęć dydaktycznych. Zadaniem jego jest opracowanie podstaw do zastosowania w praktyce osiągnięć chemii radiacyjnej (w przemyśle spożywczym, w dziedzinie tworzyw sztucznych). Realizacja tych zadań zajmują się 4 zakłady Instytutu:

Radiacyjnej Chemii Spożywczej, Chemii Radiacyjnej Polimerów, Otwartych Źródeł Promieniowania, Spektrometrii.

Działalności Katedry Chemii Radiacyjnej polska nauka w sporej mierze zawdzięcza fakt, że chemia radiacyjna nie jest u nas tylko wiedzą przyszłości, że istnieje i rozwija się poprzez swe badania i eksperymenty oraz jednoczesne kształcenie kadry fachowców. Referaty naukowe pracowników Katedry zdobyły sobie uznanie na forum międzynarodowym (liczne zjazdy i konferencje). Trudna, pracowita, lecz i pełna sukcesów była ta dobiegająca końca pięciolatka Katedry.

EWA SIEMIŃSKA

P.S. Łódzka prasa pisała wiele o aparaturze posiadanej przez Katedrę Chemii Radiacyjnej (największa w kraju komora radiacyjna ze źródłami kobaltu promieniotwórczego, „bomba" kobaltowa). Nie ma chyba potrzeby przypominania raz jeszcze tego samego naszym czytelnikom.

---

podjął się przetransportowania wszystkich na tereny powiatu radomszczańskiego.

Historia dalszego pobytu misji w Polsce została nam przekazana w ogłoszonych wspomnieniach mjr P. Kempa i sprawozdaniu szefa grupy ppłk. D. T. Hudsona. Zachowały się również dwie charakterystyczne informacje o ich pobycie na terenie Ziemi Łódzkiej pochodzące z dokumentów radomszczańskiego obwodu AK. Mogłem ponadto zaczerpnąć pewnej wiadomości o misji od ludzi, którzy osobiście się z nią stykali. Wszystko to razem umożliwia nam prześledzenie marszruty jaką Anglicy odbyli oraz zadań, które zdołali wykonać.

Kierunkiem docelowym całej ekipy był oddalony o około 40 km na północ majątek Wlynice, leżący w gminie Gidle powiatu radomszczańskiego. Takiej odległości nie można było z całym bagażem przebyć jednego dnia, tym bardziej że należało zachować wszelkie środki ostrożności. Dlatego też dowódca oddziału eskortującego Anglików postanowił całą trasę podzielić na odcinki i do Wlynic przybyć rano 30 grudnia.

W myśl tego planu pierwszym miejscem postoju i odpoczynku była położona w dużym masywie leśnym gajówka Sieraków, oddalona o kilka kilometrów od miejsca lądowania misji. Nazajutrz Anglicy udali się z wizytą do oddziału leśnego AK, kwaterującego w okolicy Kacze Błoto. Wśród polskich partyzantów spotkali grupę angielskich jeńców wojennych, którzy uciekli z obozu Lamsdorf na Śląsku. Po powrocie do Sierakowa zameldowano Anglikom, że przybyli partyzanci radzieccy i chcą się z nimi widzieć. Początkowa konsternacja szybko minęła, bowiem — jak relacjonuje Kemp — rozmowa z nieznanym kapitanem i dwoma porucznikami rosyjskimi okazała się bardzo przyjemna, a na końcu Anglicy otrzymali nawet radę, że bezpieczniej będzie im podróżować w cywilnych ubraniach. Wprawdzie z rady tej całkowicie nie skorzystali, ale pomni przestrogi usunęli z mundurów wszystkie dystynkcje.

Dalsza droga do Wlynic prowadziła przez wiele polskich wsi, w których na postojach Brytyjczycy wraz z partyzantami byli bardzo życzliwie przyjmowani przez okoliczną ludność. W drodze nadali drogą radiową szereg komunikatów do Londynu.

Zgodnie z planem — rankiem 30 grudnia wszyscy szczęśliwie dotarli do celu. Zostali tu przyjęci przez dowódcę 27 pp. AK mjra „Stefana", a wieczorem przeniesiono ich do bardziej bezpiecznego miejsca, mianowicie leżącego na skraju lasu, a oddalonego o kilka kilometrów drogi majątku Katarzyna. Dobry nastrój Anglików oraz oddziału akowskiego stanowiącego ochronę misji przerwały nagle nieoczekiwane wypadki. Dzisiaj trudno już ustalić jakie przyczyny złożyły się na to, że wczesnym rankiem 1 stycznia 1945 roku majątek został zaatakowany przez duże siły niemieckie, posługujące się nawet bronią pancerną. Typowe donosicielstwo nie jest tu wykluczone.

O tych dramatycznych chwilach taką relację pozostawił kronikarz AK.

„Budzi nas służbowy, Niemcy na Jasieniu. Anglicy kwaterują w dworku, pełni służbę przy nich st. strzelec Grot. Wtem melduja, że niemiecki czołg Tygrys, już dojeżdża do wsi, wyskakujemy na dwór, słychać strzały już bliskie, wycofujemy się do lasu, ale Anglicy zostali w dworku, okrążamy wieś lasem i por. z częścią żołnierzy idzie do dworu, a druga część z sierż. Balonem zajmuje stanowiska na skraju lasu. Grot był w plutonie I, gdy usłyszał, że Niemcy są daleko, chciał zawiadomić Anglików, lecz w drodze natknął się na czołg, tak blisko, że Niemiec z czołgu już nie mógł strzelać z rkm, tylko walił do niego" (w tym miejscu kronika się urywa).

Natomiast w meldunku przesłanym po akcji dowódcy 27 pułku AK, czytamy:

> „...o godzinie 7.45 OB Manewru (Oddział Bojowy), kwaterujący w m. Katarzynów został zaskoczony przez oddział żandarmerii. Dając ochronę przebywającym tam w specjalnej misji oficerom angielskim, oddział musiał przyjąć walkę z nieprzyjacielem mającym przewagę liczebną oraz w uzbrojeniu i sprzęcie. Niemcy użyli do walki trzech czołgów wielkich rozmiarów i 1 tankietki. Po przeszło godzinnej walce OB wycofał się wyprowadzając ofic. angielskich, tracąc jednak jednego zabitego, 1 kb oraz bagaż Anglików (poza tym 1 rkm uszkodzono). Poległ kpr. Newada. W walce z czołgami mimo że oddział zetknął się z nimi w takiej sytuacji po raz pierwszy, tylko część żołnierzy wykazała brak opanowania: oddział wypadł w walce dobrze. Poza d-cą OB ppor. Warta w walce wyróżnili się polegli kpr. Newada, plut. January, sierż. Balon, sierż. Mały, kpr. Sztacheta, kpr. Szakal, kpr. Kotek. 3. I. 1945 r. komendant Gł. AK odznaczył w OB Krzyżem Virtuti Militari V kl. plut. Januarego i poległego kpr. Newadę. Krzyżem Walecznych sierż. Balona, kpr. Szakala i kpr. Kotka".

Tak więc dzięki pełnej poświęcenia postawie oddziału akowskiego, Niemcy nie osiągnęli celu. Spalili tylko dwie stodoły i uprowadzili właścicielkę domu. Anglicy w tym czasie docierali już do wsi Dudki. Nazajutrz odbył się uroczysty pogrzeb poległego żołnierza AK, w którym również brali udział wszyscy członkowie misji.

3 stycznia 1945 roku w Zaciszu pod Wolą Kuźniewską doszło do spotkania Komendanta Głównego AK, gen. Okulickiego i Szefa Sztabu płka Bokszczanina z przedstawicielami misji. Długa dyskusja, jaką toczono wokół aktualnych problemów politycznych i wojskowych, postanowiono w końcu odłożyć do następnego spotkania. Mimo późniejszych prób ze strony Brytyjczyków w kierunku ponownego spotkania z Okulickim — nigdy do tego nie doszło.

Przez cały okres czasu od rozmowy z przedstawicielami dowództwa AK, aż do 15 stycznia Anglicy bezustannie zmieniają swoje miejsce postoju. Takie wioski jak: Rędziny, Jacków, Dudki, Katarzynów, Wlynica — to najbardziej odwiedzane przez nich miejscowości. Mimo trudności związanych z zakwaterowaniem, ppłk Hudson przeprowadził w tym czasie wiele ciekawych rozmów z ludźmi bądź napotkanymi przypadkowo, bądź też specjalnie zaproszonymi do niego przez tamtejsze władze akowskie. W raporcie sporządzonym później opisze dość szczegółowo zdobyte tą drogą wiadomości i można czasem podziwiać trafność jego sądów i opinii mimo, że tematyka obejmowała obok zagadnień politycznych także sprawy gospodarcze, tajnego nauczania, służby zdrowia, życia rolników itp.

Pod data 9 stycznia Hudson podaje, że został zaproszony na kolację do dużego domu. Ze zdziwieniem stwierdza, że kiedy w trakcie posiłku wznosił toast za zdrowie Churchilla, Roosevelta, Stalina i Mikołajczyka, domownicy zaprotestowali przeciwko Stalinowi i okazali bardzo mały entuzjazm dla Mikołajczyka.

Już 13. I. do uszu członków misji przebywających wówczas w Rędzinach, doszły odgłosy nowej ofensywy radzieckiej. Postanowili czym prędzej spotkać się z gen. Okulickim. Jednak mimo wysyłania łączników, kontaktu z nim już nie uchwycili. W dwa dni później doniesiono im, że Armia Czerwona jest już za Pilicą w Maluszynie, odległym około 20 km od miejsca ich pobytu. Wieczorem cała misję zaproszono do Wlynic, gdzie zebrało się wielu oficerów AK z tego terenu, wśród nich Szef Inspektoratu Częstochowskiego AK. Na naradzie tej zdecydowano rozpuścić istniejące oddziały AK, a gościom radzono opuścić powiat radomszczański i przenieść się na północ. Po przespanej nocy u wieśniaka we wsi Katarzynów, eskorta żołnierzy AK, wykonując rozkaz dnia poprzedniego o rozwiązaniu oddziału, opuściła Anglików. Od tego momentu ppłk Hudson postanowił ujawnić całą misję wobec wojskowych władz radzieckich, i szukał możliwości do zrealizowania tej decyzji. Okazja znalazła się szybko. W południe 16 stycznia, właścicielka majątku w Katarzynie zaprosiła Anglików na obiad. W drodze do dworku napotkali oni pierwszy patrol żołnierzy Armii Czerwonej, a w czasie obiadu towarzyszył im już kpt. Armii Czerwonej, którego poprosili o skontaktowanie z Komendą radziecką. 17 stycznia oficerowie angielscy udali się do Żytna i tam przedstawili się władzom radzieckim.

Po wielu wyjaśnieniach cała misja droga okrężną przez Moskwę powróciła do Anglii.

Jak wynika z powyższych rozważań, kilkunastodniowy pobyt angielskiej misji wojskowej na naszych ziemiach, nie przyniósł pokładanych w niej nadziei. Emigracyjnemu rządowi polskiemu, jak i podziemiu prolondyńskiemu w kraju misja nic nie dała, poza kłopotem z ich zakwaterowaniem i ochroną. Natomiast rząd angielski, który za pośrednictwem swoich ludzi chciał zdobyć odpowiedni materiał ilustrujący sytuację polityczną w Polsce — też tego nie uzyskał. W sumie przecież — większość tych informacji, które Hudson przekazał drogą radiową do Londynu była powierzchowna, fragmentaryczna, w każdym razie nie można było na nich budować żadnych hipotez. W dodatku raport w swej syntetycznej formie został sporządzony przez kierownika misji dość późno i nie mógł być nawet w takim stanie wykorzystany przez delegację angielską na sojuszniczej konferencji w Jałcie.

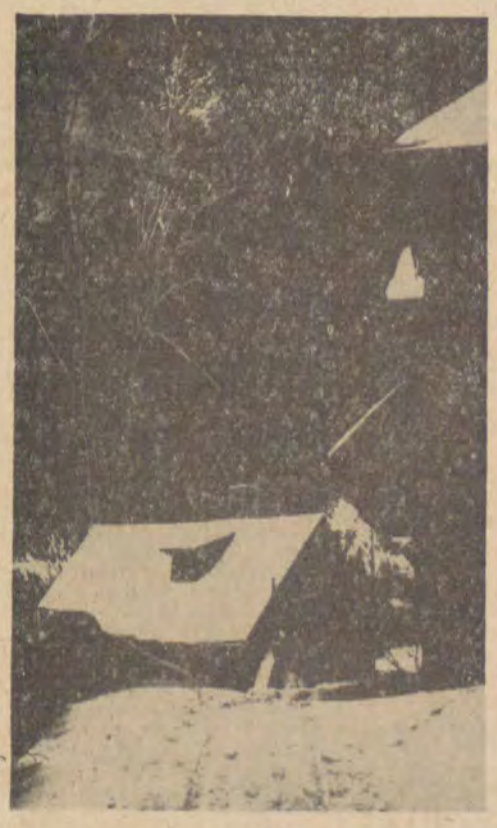

LEON GOMOLICKI

„WYDARZENIE"

Fragmenty nowej powieści

1. ZJAWISKO

W poczekalni sądu, na wysokiej drewnianej ławce wmontowanej w ścianę siedziała dziewczyna. Miała na sobie męskie spodnie, kurtkę bez guzików odsłaniającą sweter, włosy długie, jasne, rozczesane na dwie strony, opadające swobodnie wzdłuż twarzy. Dopiero gdy zaczęła mówić, zrozumiałem swoją omyłkę: była chłopcem albo chłopiec był dziewczyną, albo nie było ani chłopca, ani dziewczyny, lecz postać nijaka, odmieniec o wyglądzie dziewczyny, głosie chłopca i mózgu dziecka.

Nie wiedziałem, jak zacząć. Zapytać: po co to zrobiłeś, byłoby powtórzeniem tego, co słyszał już od tych, którzy z nim rozmawiali przede mną. Tak musieli zaczynać wszyscy. Cery nie miał czystej — tu i tam krostki błyszczące napiętą skórą, ale i rumieniec o wyraźnej granicy, pokryty złotym puszkiem chłopięcego zarostu. Przy tym oczy porcelanowo błękitne, bezczelne i cyniczna ryska w kącikach warg. Odruchowo spojrzałem na jego ręce, ono zaś także odruchowo zrobiło ruch, aby je ukryć — czerwone krótkie palce, ruchliwe, silne. Może jednak przeszkadzała mi wiedza faktów i to sobie dorysowałem w wyobraźni.

Trzeba było jednak jakoś zacząć.

Po co to zrobiłeś, zapytałem.

Wykrzywił usta, z pogardą dla mojej nieodkrywczości, wzruszył ramionami, niezbyt widocznie, ale wzruszył i tuż dziewczyna spojrzała w nim powłóczyście, jakby robiąc do mnie oko

Mówiłem już, chcieliśmy pójść na mecz, starczyło nam jeszcze na sporty i duże lody, może ma pan fajki? — mówił ochryple, intonacja ordynarna, od niechcenia.

Już palisz, a ja, widzisz, nie, nie palę i fajek nie mam.

Zaraz posmutniał — nie udało się.

Ileż było tych pieniędzy? — zapytałem.

Przełknął ślinę: dwie stówy.

Uważałeś, że tyle akurat kosztuje życie ludzkie, dwie stówy?

Wtedy spojrzał zaskoczony — być może tak nikt jeszcze nie pytał — bokiem, nie wiedział, czy coś odpowiedzieć, czy to tylko zwrot retoryczny. Gdy powtórzyłem — znów lekkie wzruszenie ramion, może w sensie: a co to takiego to życie — tak to mniej więcej odebrałem. Po chwili powiedział:

On by i tak niedługo się nakrył, to był dziad.

Aha, uprzedziłeś fakty z korzyścią dla siebie, ale trzeba powiedzieć, że z niewielką korzyścią.

Było jasne: nie mieliśmy o czym mówić, albo temat okazał się krótki, albo język, jakim porozumiewaliśmy się, nie ogarniał istoty sprawy. Więc siedzieliśmy oddalając się od siebie coraz bardziej. Sytuacja niezręczna i smutna. Ale na czym w końcu polega istota sprawy? Istota sprawy tej istoty? Chyba nie na tym, jak zwykło się mówić: wojna deprawuje. Kiedyż była ta wojna! Dla nas wczoraj, dla nich w abstrakcji, w tym samym czasie, co każda inna wojna, o której przeczytali w podręczniku. Ono urodziło się szesnaście lat temu, a więc dokładnie w połowie aktualnego stulecia i jeśli szczęśliwie przetrwa parę następnych pięciolatek, wstąpi w kalendarzowy, dla utopistów dziewiętnastego wieku apokaliptyczny wiek dwudziesty pierwszy. Jeśli wojna, którą przeżyliśmy, doprawdy deprawowała, to przez ileż to pokoleń, bo ojciec tego chłopca miał dopiero trzynaście lat, kiedy przyglądał się płonącej Warszawie. Ten zaś — jego pierwsze wrażenia dzieciństwa to tłumy na pogrzebie Bieruta. Nie tylko wojna, lecz i pierwsze dziesięć lat po niej nie istnieją dla niego. Zresztą — deprawuje! Mnie na przykład wojna powinna była zdeprawować jak najbardziej, bo uczciwie przebyłem ją w wieku dojrzałym, oddałem jej najlepsze lata swego życia, a przecież — nie zabiłem, nie okradłem, ani nie skrzywdziłem w żaden inny sposób nikogo. Ten natomiast dokonał morderstwa bezmyślnego w całkowitej infantylnej nieświadomości swego czynu. Sędzia rzuca w jego stronę spojrzenia znużone, nieprzeniknione. Ławnicy nie ukrywają na twarzach wyrazu obrzydzenia? Pogardy? Na sali wyczuwa się podniecenie, z podobnym wyrazem lepkich, błyszczących oczu tłum uliczny skupia się nad kałużą krwi na jezdni —

Potem zobaczyłem ich razem. Drugi był chyba młodszy, a może to powierzchowność niedorozwiniętego — z głupawym uśmiechem, zaślinionym podbródkiem, wyłupiaste, mętne oczy, nie rozumiał pytań, bez przyczyny śmiał się, pochrząkując. Odpowiadał za niego tamten, długowłosy — tu, przed sądem wyprostowany, zmieniony, cynicznie i bezczelnie patrząc na pytających: chcieliśmy pójść na mecz itd., znana argumentacja, a o szczegółach:

Ja nie biłem to on uderzył, Felek głupi, on nie ma wyczucia w ręku, trza było ogłuszyć i tyle, stary by nic nikomu nie pisnął, bałby się, a tu — wyszło nieporozumienie.

Sędzia (czerwona, w sklerotycznych żyłkach twarz starego człowieka, patrzy na oskarżonych spode łba, z gotowym wyrokiem w oczach): co to znaczy, stary by nic nie — co chciałeś przez to powiedzieć?

A to, on by już wiedział.

No, to już, mów wreszcie, o co chodzi?

Ale ja się wstydzę — i zdecydowawszy się

Rys. A. Grun

jakby naprawdę — do niego taka jedna młodociana chodziła, to on jej płacił za to, że się rozbierała przy nim, my z Felkiem to od niej wiedzieli, pod chajrem.

Łżesz, gówniarzu, świńtuchu, wujek był porządnym człowiekiem — to siostra Basi, grubsza, starsza od niej, blada ze wzburzenia zerwała się z miejsca, a po słowach sędziego: proszę o spokój — już innym głosem: proszę sądu, wujek to był naprawdę święty człowiek, proszę wszystkich przepytać, kto go znał, ten podły smarkacz łże!

Proszę o spokój — powtórzył sędzia — ten szczegół nie ma nic do rzeczy.

A oto słowa obrońcy, człowieka niskiego wzrostu, ale o wielkich ambicjach i donośnym głosie — to, co zdołałem zanotować później z pamięci:

— widziałem w przychodni lekarskiej draba mdlejącego na widok własnej krwi przy głupim zabiegu pobrania jej z żyły. Ale cudza krew nie robi na nich wrażenia. Nie umieją wejść w sytuację bliźniego, tak daleko wyobraźnia ich nie sięga. Właściwie nie odróżniają materii żywej od martwej — tyle, że żywa się porusza. Ból, strach, instynkt życia, prawo do życia — to tylko dla nich. Zadziwiający infantylizm, żadna deprawacja. Żeby być zdeprawowanym, trzeba przedtem mieć świadomość prawa. Oni wiedzą jedynie o istnieniu prawa zaspokajania instynktów. Pozostaje jeszcze zadanie niebagatelne: dociec przyczyn tego ich infantylizmu, integralnego infantylizmu, skoro skutki tak są brzemienne w okrucieństwa, w niewinne okrucieństwa! Gdyby się udało tego dociec, byłoby to jednocześnie uzasadnieniem pewnej teorii — smutnej i jak dotąd hipotetycznej. A więc pozwolę sobie na kilka zasadniczych pytań: czy można zjawisko kłaść na karby zawrotnego rozwoju techniki? albo konformizacji życia? skoro za człowieka myśli robot i wystarczy nieznacznego ruchu, naciśnięcia na jakiś tajemniczy guzik, żeby zniszczyć wszelkie życie na Ziemi. — Bo przecież stanowczo stwierdzamy, że tak rozpowszechniony fenomen infantylizmu nie jest objawem patologicznym, ani nawet cynizmem z pogranicza przenicowanej na opak mądrości —

Sprawa zbyt oczywista i nie ciągnęła się długo. Dom poprawczy. Kiedy wyszliśmy, Basia z płonącą twarzą, nawet z wilgotną mgiełką w oczach, przenikliwie:

— dziękuję panu.

Również byłem rozdygotany tymi wrażeniami, ale nie zrozumiałem, o co właściwie jej chodziło. Czyżby tylko o asystę?

2. NA PRYWATCE

spotkali się na prywatce u koleżanki. Był tu najstarszy i od razu zwrócił na siebie uwagę.

Koleżanka: poznajcie się, pan niedawno z Zachodu, a to po prostu Basia.

Sytuacja takich prywatek: dziwna młodzież, ponury taniec: pochyleni, z rękami zwisającymi bezwładnie jak u kukły, wymijają się nie patrząc na siebie, właściwie nawet nie łącząc się w pary, jakoś odseparowani, to seans trwania, może przetrwania w ogóle, mogę więc wyobrazić sobie ich: tego gościa i Basię, całkiem obcych w tym obłędnym kręgu. I on, patrząc, a właściwie nie patrząc, tylko tak obejmując wzrokiem otaczające ich skupisko — na temat pokoleń:

— widzi pani, mówimy: różnica wieku, nie rozumiejące się nawzajem pokolenia, z grubsza tak, ale ja właściwie nie bardzo wiem, co to jest ta różnica czy porożnienie pokoleń. O, przykład blisko — my z panią formalnie przedstawiamy te dwa pokolenia, bo mogłaby pani z pewnością być moją córką, ale czy to istotne! Według przyjętej definicji pokolenie to ogół żyjących w tej samej współczesności czyli współcześnie. Więc żyjemy otoczeni tym samym światem, na tym samym świecie i różni nas jedynie nasza przeszłość, nie teraźniejszość, lecz przeszłość, która w ogóle ludzi różni, nawet ludzi w tym samym wieku. Nasze przeszłości — moja i pani — mają po prostu różną długość, są zakorzenione w różnych warstwach czasu. Możemy powiedzieć, że różni nas jedynie długość korzeni naszych przeszłości. Ale przecież nie porożnia. Pani tu jest tak samo jak ja zagubiona — przecież dobrze to widzę. Inaczej mówiąc: ta współczesność jest nasza tylko formalnie, jedynie dlatego, że w niej żyjemy. Na tej samej zasadzie nazywamy naszym dom, w którym mieszkamy, a który nie jest naszą własnością. Toteż i długość korzeni tu tak samo nie jest decydująca. Zgadza się pani? Mógłbym pani opowiadać, jak, powiedzmy, Otello Desdemonie, i to długo opowiadać, gdybym chciał zaimponować pani, demonstrując kolekcję moich doznań. Jest tam, oczywiście, nie tylko batalistyka, nadająca się do dialogu w sztuce kostiumowej. Są tam też rzeczy brzydkie w różnym znaczeniu, w stosunku do których byłem bierny, ale i aktywny też byłem, sprawy nie wypowiadane przez Otella, ukryte jednak w nim, o czym świadczy dalszy, tragiczny rozwój wypadków. Rozumie mnie pani, demaskuje go brak zaufania do ludzi, do jego kobiety. Trzeba być samemu przewrotnym, żeby tak łatwo, na słowo uwierzyć w przewrotność innego człowieka, a tym bardziej — bliskiego człowieka. Jeśli o mnie chodzi, grałbym w otwarte karty. Ale nie miałoby to znaczenia. Nic by nie zmieniło — w każdym wypadku sytuacja pozostałaby ta sama: tkwimy z pania w tym samym polu zewnętrznych wpływów i mamy na te siły podobne reakcje. Obserwowałem, obserwuję pania uważnie, bo i z pewną ciekawością — mam większe od pani doświadczenie pod tym względem. Proszę mi wybaczyć tę szczerość, lecz pani sama prowokuje.

Nie jestem zrównoważony psychicznie, do tego jestem sam. Zastanówmy się, na czym to polega: samotność! To nie tylko samotność dosłowna, że, na przykład, nie mam żony lub unikam towarzystwa. Wydaje mi się, że głównym przejawem samotności jest brak mojej użytkowności wobec innych ludzi, to jest jeśli nie mam nikogo, kim mógłbym się zaopiekować, o kogo mógłbym się niepokoić, komu mógłbym zaofiarować moją uwagę, czas, życie. I oto, jeśli naprawdę nie mam — wtedy jestem dopiero osamotniony. Z tym stanem — bo to jest stan — łączy się brak sił przeciwdziałających na zewnątrz, ograniczanie siebie dla innych, słowem — próżnia otaczająca mnie to jakby brak formy, brak ścianek naczynia, w których mieści się moja psychiczna nieobliczalność. Zaś niczym nie ograniczany z zewnątrz — rozpływam się, zatracam swój kształt i to już pierwszy objaw rozpadu, i to już patologia: chorobliwy stan samotności!

Nie wiem, czy mnie pani należycie rozumie, patrzy pani tak uporczywie, że robi mi się trochę wstyd mego gadulstwa. Ma pani oczy jak u dziecka, z powiększonymi źrenicami, prawie bez tęczówki, i z takim wyrazem, że nie ma się pewności: czy to uwaga, czy zamyślenie, a może ironiczna uwaga. Nie? W każdym razie ma pani talent słuchania. Uwierzy pani, że robię to po raz pierwszy w ogóle. Przecież prawie z nikim nie obcuję towarzysko. Muszę się wygadać za tyle lat? Nie, nie o to chodzi. Należę do ludzi, którzy nie umieją myśleć w pustce, dla własnego użytku, myślą dopiero w kontakcie z umysłem czyimś, niech nawet całkiem biernym czyimś umysłem, jedynie z czyjąś uwagą, słowem — myśla mówiąc.

Definicje przychodzą u nich razem ze słowami, bo są wysłowieniem pojęć, a żeby się wysłowić, trzeba mieć przed kim. Pani odegrała służebna role i choćby za to muszę być pani wdzięczny. Za ten kwadrans mojego monologu właściwie. — Ale uważajmy na adapter —

ZOFIA LIBISZOWSKA

Rembrandty króla Stanisława Augusta

Kradzież bezcennych dzieł sztuki z leżącej na peryferiach Londynu galerii Dulwich poruszyła niedawno angielską opinię publiczną. Zniknęły 3 Rembrandty, wśród nich znane płótno „Dziewczyna w oknie" i 3 obrazy Rubensa, oszacowane łącznie na zawrotną sumę 2,5 miliona funtów. Wiadomość błyskawicznie obiegła miasto i kraj, postawiła na nogi policję brytyjską i detektywów ze Scotland Yardu. Zrozpaczony, bezradny kurator Galerii James Fitton wysunął absurdalny i wprost humorystyczny domysł, że sprawcami mogli być Polacy, działający z pobudek patriotycznych w ramach obchodów tysiąclecia.

Dyrektor Muzeum Narodowego prof. dr Lorentz w wywiadzie udzielonym „Życiu Warszawy" dowcipnie i rzeczowo wykluczył tę możliwość. Niemniej rozgłos sprawy był wielki a nazwisko króla polskiego Stanisława Augusta Poniatowskiego zdobiło nagłówki czołowych artykułów prasy brytyjskiej *). Szczęśliwie obrazy się odnalazły i cała sprawa ucichła. Z kolei jednak czytelnikowi polskiemu należy się wyjaśnienie, w jaki sposób owa galeria londyńska wiąże się z historią Polski i losami ostatniego jej króla.

Wracamy zatem do Warszawy stanisławowskiej, która pod opieką króla pięknieje, rośnie i rozwija się. Sprowadzony z zagranicy sztab architektów i artystów oraz nie mniej liczne rodzime talenty kształtują i zdobią królewskie siedziby, gmachy publiczne i prywatne rezydencje możnych; tworzą na wielką skalę urbanistyczne projekty i plany rozbudowy miasta. Jak grzyby po deszczu powstają tu wciąż nowe inicjatywy gospodarcze, kapitał gromadzi się w rękach właścicieli potężnych domów handlowych, tworzą się spółki kupieckie o szerokich powiązaniach z zagranicą. Potentatami Warszawy stają się bankierzy: Blank, Jarzewicz, Tepper, Dangel i inni.

Realizacja planów królewskich w zakresie sztuki wymagała wielkich wydatków. Prywatne fundusze królewskie były zbyt szczupłe, dochody jego jako monarchy kontrolowane przez wścibskie organy szlacheckiej reprezentacji, król uciekał się więc często do kredytu możnych bankierów, wśród których miał prawdziwych przyjaciół. Dzięki nim mógł sobie pozwolić na zagraniczne zakupy i nieraz kosztowne zachcianki. Król — estetа, wzorem oświeconych monarchów, zaspokoić chciał nie tylko własne wyrafinowane gusty, ale też stworzyć w Warszawie siedzibę muz i sztuki, zaludnić ją artystami i kształtować nowe talenty w założonych tu akademiach artystycznych.

Podróżując jako młody człowiek po Francji, Holandii i Anglii, rozmiłował się król w dawnych mistrzach. Do ówczesnej mekki sztuki — Italii, nie dojechał i całe życie tęsknił do ojczyzny Rafaela. Przez swych agentów w Rzymie i innych miastach włoskich sprowadzał do Warszawy płótna szkoły renesansowej i rzeźbę antyczną. Padał jednak nieraz ofiarą aferzystów i oszustów, którzy falsyfikaty i kopie sprzedawali jako oryginały.

Wiek oświecenia i światłego absolutyzmu przynosi w całej Europie ogromny wzrost zainteresowania sztuką. Gromadzenie jej zabytków, które było dotychczas odosobnioną manią i prywatnym snobizmem staje się ambicją narodową. Powstają pierwsze galerie udostępniane publiczności. Pojawiają się fachowcy, oceniający dzieła sztuki i zajmujący się ich sprzedażą. Rembrandt, który zmarł w biedzie, gdyż nikt nie chciał kupować jego obrazów, nabiera niezwykłej wartości i budzi światowe zainteresowanie. Van Dyck nawet w Holandii jest bezcenny. Donosi o tym Stanisławowi Augustowi, Tadeusz Burzyński, który pełniąc w 1769 r. poselstwo dyplomatyczne został obarczony przez króla zamówieniem na zakup obrazów tego mistrza.

Gromadzenie galerii obrazów przez Stanisława Augusta było więc rzeczą trudną i kosztowną. Toteż zadziwia nas ilość płócien, które zdobiły ściany przebudowanego zamku królewskiego, pałacyku łazienkowskiego, Belwederu i wreszcie letniej rezydencji króla w Kozienicach.

Wyszukiwaniem obrazów na różnych aukcjach i nadarzających się okazjach trudnili się kupcy i dyplomaci. Sieć polskiej służby zagranicznej w dobie Stanisława Augusta rozrasta się znacznie. W większości stolic europejskich są to wprawdzie tylko rezydenci, niemniej ustabilizowana ich sytuacja i dłuższy staż w danym kraju pozwala im na nawiązanie wszechstronnych kontaktów. W ten też sposób poprzez nasze przedstawicielstwo w Londynie

Ludzie i Książki

Do trzech razy sztuka

(O nowej książce A. Lisieckiej)

Po „Alicji w krainie czarów" (1961) i „Pokoleniu pryszczatych" (1965), Alicja Lisiecka ogłosiła swoją trzecią książkę krytyczną pt. „Prognoza pogody". Obejmuje ona artykuły, recenzje i felietony z lat 1962—1965, publikowane w prasie literackiej i codziennej, które przed oddaniem do wydania książkowego autorka rozszerzyła i rozwinęła. Rzecz składa się z trzech części: pierwsza, od której pochodzi tytuł całego tomu, „Prognoza pogody", prezentuje poglądy autorki na literaturę w świetle panujących u nas i w innych krajach tendencji i prądów; druga, „Komu bestseller?", dotyczy spraw polityki kulturalnej, upowszechnienia i propagandy literatury; wreszcie ostatnia, „Książki, które lubimy", próbuje ustalić gusty i zainteresowania dzisiejszego odbiorcy w Polsce.

Książki Lisieckiej nie należy rozpatrywać oddzielnie, w oderwaniu od publikacji krytycznych innych autorów. Obserwujemy obecnie pocieszające zjawisko: krytycy dokonują wyboru swoich prac i ogłaszają je w książkach. Mamy więc „Mój gust wiktoriański" Janusza Wilhelmiego, „Sztukę czytania" Henryka Berezy i „Weryfikacje" Ludwika Grzeniewskiego (żeby ograniczyć się do kilku zbiorów najnowszych). Otóż na tle tej produkcji krytycznej Alicja Lisiecka prezentuje umysłowość najżywszą, jej wrażliwość na zjawiska literackie ma w sobie coś z ciekawości dziecka, które chce być wszędzie i widzieć wszystko. Być może inni krytycy są bardziej solidni i pryncypialni, a ich sądy i opinie zostały bardziej wyważone. Być może również, że są oni mniej zemocjonowani i przez to obiektywniejsi. Ale jedno nie da się zaprzeczyć: Lisiecka nie chowa głowy w piasek, nie boi się odsłonić przyłbicy, a pozycja, z której przystępuje do rozpatrywania dzieła czy zjawiska, określona wyraźnie. Wskutek tego, czytając jej „Prognozę pogody", wiemy zawsze, czego autorka szuka w literaturze, jakie stawia jej wymagania i co lubi. Cechuje ją temperament pisarski, bez którego nie można sobie wyobrazić prawdziwego krytyka. Przezwyciężono już, na szczęście, pogląd, wedle którego zadanie krytyka ma polegać na beznamiętnym, niejako bezosobowym gromadzeniu, segregowaniu i kwalifikowaniu faktów literackich i kulturalnych. Mogą takie książki być potrzebne i pożyteczne, ale często wieje z nich nuda i nie bardzo nadają się do czytania. Krytyk to także pisarz, im więcej ma do powiedzenia od siebie i im goręcej to czyni, tym staje się cenniejszy dla rozwoju życia kulturalnego.

Alicja Lisiecka podchodzi do spraw literatury z emocjonalnym zaangażowaniem, powiedziałbym nawet: z pewną niecierpliwością. Może się zdarzyć, że jednego pisarza skrzywdzi, innego przeceni, że pewne zjawiska pominie, innych nie zauważy (lub nie zechce zauważyć), ale zawsze czyta się ją z ciekawością i uwagą. Pomyślcie, co za frajda: książkę krytyka czyta się!

Cenne w „Prognozie pogody" jest także to, że Lisiecka bierze w obronę czytelnika. Staje po jego stronie. stara się go zrozumieć. „Literatura musi odpowiadać na różne potrzeby różnych środowisk i różnych grup społecznych" — pisze na str. 134 i domaga się odpowiednich książek. Trzeba bowiem powiedzieć, że przeciętny czytelnik czyta przeciętne książki. Czytelnictwo kształtuje się nie na podstawie arcydzieł, kształtuje się ono i rozwija na dobrej tzw. średniej literaturze. Proszę mnie w tym miejscu nie posądzać o odbieranie pisarzom ambicji i w ogóle o rezygnację z wielkiej twórczości. Nic z tych rzeczy. W Polsce istniało zawsze coś w rodzaju pogardy dla literatury popularnej. Mam na myśli literaturę popularną wartościową, nie szmirę, schlebiającą prymitywnym gustom czytelniczym. Osobiście wolę dobrą książkę popularną, niż „zadęcie na arcydzieło", w którym autor nadyma się, jak balon, lecz nic lub niewiele z tego wynika.

Trzecia zaleta książki Lisieckiej to zauważenie tzw. prowincji, upomnienie się o nią. Na str. 153 Lisiecka pisze: „Uff, jak dusznio robi się czasem, kiedy człowiek siedzi w Warszawie. Te same twarze, to samo środowisko, te same problemy, mikroproblemy, mikroproblemiki". Jej rekonesans terenowy jest sympatyczny, choć — rzecz jasna — niekompletny. To zaledwie próba. Ale próba cenna. Nasze życie literackie wciąż jeszcze cierpi na elephantiasis centralizmu. Dowodem na to jest fakt następujący: w książkach krytycznych, które wymieniłem na początku mego felietonu, autorzy omawiają wyłącznie lub prawie wyłącznie pisarzy warszawskich (i, naturalnie, zagranicznych), natomiast rzadko się zdarza, aby krytyk napisał, a potem wcielił do swego zbioru recenzję z książki autora pozastołecznego. A przecież nie muszę nikogo zapewniać, że dobre książki ukazują się wszędzie, nie tylko w Warszawie. Lisiecka dotyka zaledwie tej sprawy w „Prognozie pogody", ale dobre i to. Miejmy nadzieję, że w dalszej praktyce krytycznej rozszerzy swoje zainteresowania na obszary, których znaczenie docenia i z których wagi zdaje sobie sprawę.

Szkic, zamykający książkę Lisieckiej, mianowicie „Faraon — powieść nowoczesna", jest chyba najlepszą pozycją w tym zbiorze. Oto przykład jak o starych sprawach można pisać w sposób nowy. Nowy i atrakcyjny. Voila!

Jan Koprowski

„Operacja trwa" — Fot. Marcin Menzel

„Odgłosy" w kilku kolejnych numerach zamieszczać będą serie zdjęć łódzkich artystów-fotografików, aby pełniej zaznajomić Czytelników z ich aktualnymi osiągnięciami, z tematyką, która ich zajmuje i kierunkami artystycznych poszukiwań.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy prace Marcina Menzla, lekarza medycyny, absolwenta WAM, członka Łódzkiego Tow. Fotograficznego. Menzel zajmuje się fotografią od 1959 r. Kilka obejrzanych wystaw fotograficznych, w tym słynna „Rodzina człowiecza" sprawiły, że zaczął się interesować tą dyscypliną sztuki opartą na konkrecie, stanowiącą zawsze dokument realnie istniejącej sytuacji.

W 1962 r. bierze Menzel udział w tematycznej wystawie „Na turystycznym szlaku" i otrzymuje I nagrodę. W r. 1965 brązowy medal na dorocznej wystawie Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego. W r. 1966 uczestniczy w 9 wystawach ogólnopolskich i zostaje laureatem pięciu nagród. W tym też roku za zdjęcie „Studencka rodzina" otrzymuje wyróżnienie na międzynarodowym Fotosalonie 66 w Ostrawie. Tematyka zdjęć? Przez długi czas ulubionym tematem Menzla był pejzaż. W tej chwili wychodzi z założenia, że właściwie każdy motyw jest dobry pod warunkiem, że fotografujący zdobędzie się na własne, indywidualne spojrzenie i na własną interpretację.

ANDRZEJ GRUN

Henryk Hartenberg

ZRZEKAM SIĘ

Trzeba być ślepym
Żeby nie widzieć światła
Co tryska z naszych czynów
(Rafael Alberti)

I

Przez czterdzieści rozżarzonych dni
Przez czterdzieści rozżarzonych nocy
Przez czterdzieści poranków południ wieczorów

Naga pustynia
Drążyła stwardniałą skórę
(Jak wiatr szczeliny nocy)
Naruszając każde włókno
Każdą czułą tkankę
Każdy napięty nerw
Każdą bruzdę ciała

Zwielokrotniając próżnię
Ciężką jak oddech trędowatych

II

Wtedy wzywałem twojego Imienia
Które miało zejść w mroki
Wrzącego piasku

III

Wznosiłem zamek z ognia wiatru
I kości odartych z cuchnącego mięsa
Zamykałem bramy na wszystkie błyskawice i wichury

Podnosiłem mosty
Krwią wypełniałem fosy
D[illegible]em palonych gwiazd
Łamałem przypływ gorączki

IV

Tylko noc była długa
I ból rozsypany w oczach
I pustynia na wargach
I smak krwi pod powiekami
I dzień nie zastygał
I czas nie przemijał
Tylko złudzenie ogromniało

Mario...

Jerzy Wilmański

ŁÓDŹ

Więc miasto się otwiera nocą, dniem i zmierzchem
powtarza je asfalt mokry i dzień noc powtarza
panorama zakryta i zaszyfrowana
złe miasto w godzinie płatka sadzy

Przyszedłeś tutaj zmierzchem
Przyjdziesz kiedyś rankiem
godziny są nieważne
Przychodzisz w tynk mokry

w miasto co się otwiera
Skąd przyszedłeś nie pyta konduktor i szatniarz
kładziesz dłoń na metalu
dotykasz ścian
nocy
faktury miasta które tak niedobre
że ukarze niewierność
że wierność ukarze

Znana jest chropowatość tego krajobrazu
Szminkę wczesnego świtu śpiewali poeci
Makijaż to nieudatny
więc się nie bój
nie patrz
w ospowatą twarz miasta
w elektryczne oczy

Okna zamkną powieki i fasady zasną
albo się obudzą
to fakt bez znaczenia
Miasto też bez znaczenia
— Ono też nieważne
istotna jest wibracja metalu pod dłonią
ważna karta papieru nawet ta pomięta
ważny dzień, noc i godziny na tarczy zegara

Więc się nie bój miasta
musisz je wziąć całe
albo całe odrzucić jak zwietrzałą cegłę.

utrzymywane były stałe stosunki z tamtejszym środowiskiem artystycznym. Nasz długoletni rezydent a od 1785 r. minister pełnomocny Franciszek Bukaty otrzymywał od króla specjalne polecenia i zamówienia. Prócz funkcji ściśle dyplomatycznych, wiele czasu zabierają mu te różnorodne i niełatwe sprawy. Za jego to pośrednictwem król zamawia portret Jerzego III u sławnego malarza Gainsborougha. Podobnie ambasada nasza organizuje przesyłkę obrazów nie mniej znanego artysty Louterbourga i jego utalentowanego ucznia Peter Francis Bourgeois. Związki tego ostatniego z dworem warszawskim były szczególnie intensywne. Od króla polskiego uzyskał on bowiem szlachectwo, potwierdzone przez Jerzego III co upoważniało go do używania w Anglii tytułu Sir, zaś w 1791 r. Stanisław August mianuje go swym nadwornym malarzem. Do „polskiej" twórczości Sir Peter F. Bourgeois należy zaliczyć niewątpliwie portret Franciszka Bukatego w stroju dyplomatycznym, znajdujący się obecnie w Ambasadzie PRL w Londynie i obraz przedstawiający zebranie towarzyskie w salonach naszego poselstwa, przechowywany w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie.

Wiele kłopotów i zabiegów wymagało spełnianie królewskich zamówień, wyszukiwanie rzadkich kolekcji sztychów, medali, monet i drobnych wyrobów artystycznych, jak miniatury czy kamee. Nie było łatwo rozeznać się w tym wszystkim polskiemu szlachcicowi. Toteż Bukatemu przychodzili z pomocą polscy podróżni, różni dostojni przybysze, studiująca młodzież i miejscowi kupcy.

Szczególną rolę odegrał kupiec kolekcjoner i sprzedawca dzieł sztuki Noël J. Desenfans (1745—1810). Pochodził z Francji, a w Londynie osiadł jako nauczyciel języka francuskiego. Ale zamiłowania artystyczne i koniunktura handlowa skłoniły go do zajęcia się również pośrednictwem w sprzedaży obrazów. Kilka udanych transakcji zjednało mu dalszych klientów. Jemu to w 1789 r. Stanisław August polecił skupywać płótna wielkich mistrzów, których podaż wzrosła na rynku brytyjskim w związku z napływem z Francji arystokratycznych emigrantów, szukających azylu przed gniewem rewolucji. Król liczył, że w ten sposób uzupełni poważnie warszawskie zbiory, — przyszła galerię narodową. Cieszył się szczerze z każdego nabytku, o którym Desenfans donosił. Ten zaś wywiązywał się gorliwie z królewskiego polecenia. Liczba zakupionych przez niego obrazów doszła do 380. Cierpliwie też czekał na zwrot wyłożonego kapitału a w dodatku wspierał polskiego posła Bukatego w jego własnych tarapatach finansowych. Przyszły bowiem ciężkie lata. Po triumfie Sejmu Czteroletniego nastąpiła Targowica, drugi rozbiór i likwidacja naszych placówek dyplomatycznych. Odwołany z Londynu Franciszek Bukaty pozostał winny Noëlowi Desenfans blisko 2.000 dukatów. Królewski klient również niewypłacalny, postanowił w inny sposób odwdzięczyć się poszkodowanemu kupcowi. Mianował go swym generalnym konsulem w Londynie. Było to stanowisko czysto honorowe, ale uszczęśliwiony tym wyróżnieniem kupiec śle dziękczynne pismo do swego dobroczyńcy (Londyn 4. IV. 1794) i nie przestaje informować go o udanych transakcjach. W liście z Londynu z dnia 22. I. 1795 r. po doszłej tam wieści o upadku insurekcji, Desenfans pisał: „Miliony ludzi, rozproszonych po całej kuli ziemskiej śle jednomyślne życzenia Waszemu Majestatowi. Myśli ich dzień i noc towarzyszą JKMci". Wyzuty już z tronu i królestwa, Stanisław August odpisywał mu z Grodna: „Dziękuję Panu z całego serca, gdyż obecnie moje szczęście jest już tylko w malarstwie".

Obrazy zgromadzone przez kupca Desenfans do Polski nie trafiły, nie zostały bowiem nigdy wykupione. Na próżno też zawiedziony kupiec usiłował zainteresować nimi rozbiorców, domagając się odszkodowania lub sfinalizowania transakcji. Zmuszony był więc rozprzedawać nagromadzone skarby. W chwili jego śmierci pozostało ich już tylko 39 (w ich liczbie znajdowały się skradzione obecnie Rembrandty). Zapisał je przyjacielowi, malarzowi JKMci króla polskiego Sir Peter F. Bourgeois, który wraz z własną kolekcją przekazał je z kolei Kolegium w Dulwich, fundując tym samym pierwszą w Anglii publiczną galerię obrazów (1814). O jej pierwotnym przeznaczeniu świadczą już jedynie zawieszone tam portrety króla Stanisława Augusta i jego brata prymasa.

Warszawska galeria obrazów Stanisława Augusta po jego abdykacji i upadku państwa uległa rozproszeniu. Część jej tytułem dziedzictwa lub darowizny przeszła na jego najbliższych krewnych. Znakomita większość rozprzedana została na pokrycie długów hojnego i rozrzutnego monarchy. W ten sposób w ręce prywatne przeszły warszawskie Rembrandty Stanisława Augusta.

*) Przypominano jego rolę związaną z powstaniem tej bogatej malarskiej kolekcji.

MARIA KORNATOWSKA

Słowo o Zbigniewie Cybulskim

Tragiczna wiadomość o śmierci Zbigniewa Cybulskiego wstrząsnęła wszystkimi, którzy zetknęli się ze świetnym aktorem — w życiu i na ekranie. Wstrząsnęła wszystkimi miłośnikami filmu, albowiem nie sposób myśleć o dziejach powojennej kinematografii w oderwaniu od postaci tego człowieka. Był znakomitym, nowoczesnym aktorem teatru i telewizji — to prawda. Ale posiadamy wielu znakomitych aktorów teatru i telewizji. Natomiast Cybulski — aktor filmowy jest zjawiskiem w naszej sztuce jak dotąd, jedynym.

Był nie tylko aktorem, był indywidualnością, bogatą i bujną osobowością, która często rozsadzała ramy ról jakie mu narzucano. W takich filmach jak choćby w nieszczęsnej pamięci „Pingwinie" Stawińskiego, autentyczne kino objawia się na ekranie tylko wówczas, gdy jest na nim Cybulski. To przykre, kiedy aktor musi grać w złym filmie. To piękne, kiedy człowiek samym swym pojawieniem się, wyczarowuje okruch prawdy, okruch prawdziwej sztuki.

Cybulski stworzył, jedyną z najprawdziwszego zdarzenia, postać w polskim filmie — Maćka Chełmickiego. Bohater Andrzejewskiego nie miał w sobie właściwie nic nadzwyczajnego. Przypominał setki innych, dobrze skonstruowanych bohaterów powieściowych. To Cybulski uczynił go wyrazicielem pokolenia. Dał mu swoją postać, twarz, wrażliwość, chłopięcy uśmiech i ciemne okulary. Dał mu własną, tak bardzo żywotną osobowość. W epoce realizacji „Popiołu i diamentu" Maciek Cybulskiego był postacią historyczną i zarazem jak najbardziej aktualną — współczesną. To dzięki Cybulskiemu Chełmicki stał się mitem, symbolem i dzięki niemu, w płaszczyźnie już nieco bardziej przyziemnej, ulice polskich miast zaludniły się młodzieńcami w dżinsach i ciemnych okularach, z charakterystycznie ostrzyżoną, zawadiacką czupryną. Narzucił styl młodemu pokoleniu.

Rola Chełmickiego przyniosła aktorowi ogromny sukces nie tylko w kraju, ale i za granicą. Przede wszystkim w Anglii, gdzie w owym czasie młodzi „gniewni" czynili ostatnie przygotowania do swego okresu „burzy i naporu". Los Maćka-Cybulskiego został przez nich odczytany jako los buntownika i tragicznej ofiary zarazem, jako jeszcze jeden dowód winy świata, przeciwko któremu zamierzali wystąpić. Był z pewnością Cybulski polskim „gniewnym" i pozostał nim do końca. Nawet jako znużony, pełen gorzkiej wiedzy o świecie, nie umiejący znaleźć sobie własnego miejsca pod słońcem, bohater „Szyfrów" Hasa, z którym ostatnio bardzo często współpracował. Jego rola w „Szyfrach" mogła być jedną z wersji losu Maćka, który nie uciekał, który przeżył. Jest jedną z wersji losu „pokolenia Kolumbów", którzy podczas wojny zostali bohaterami, a po wojnie zdobyli dojrzałość i świadomość siebie.

Zbigniew Cybulski w filmie „Cała naprzód"
Fot. P. Kwiatkowski

Nazwano go polskim Jamesem Deanem. I to porównanie nie było ani przypadkowe ani powierzchowne. Choć nieco starszy od Deana, Cybulski należał właściwie do tej samej co on generacji. Generacji, która weszła w życie po wojnie i nie chciała biernie uczestniczyć w świecie jaki zastała. Cybulski i Dean byli buntownikami romantycznymi mimo całej swej wewnętrznej i zewnętrznej nowoczesności. A ponadto reprezentowali całkowicie nowy typ aktorstwa filmowego. Ich życie prywatne łączyło się w jednolitą, trudną do rozdzielenia całość z działalnością artystyczną. Czy swoje życie przystosowywali do konwencji sztuki, czy też sztukę do zaakceptowanych przez siebie reguł życia — nie sposób dziś powiedzieć. Należeli do świata, który przedstawiali. Grali postacie, których problemy, nawet jeśli nie w sposób dosłowny, były ich własnymi problemami.

Obaj byli bohaterami młodzieżowymi, dla których młodość stanowiła nie okres przejściowy i przemijający, ale absolut. Być może dlatego obaj zginęli tak młodo i absurdalnie. Zapoczątkowali wielką serię „młodziankową", która zrodziła dziesiątki bohaterów pełnych wewnętrznego niepokoju, niezgody, niedojrzałych i nieodpowiedzialnych, i nie umiejących wziąć na siebie odpowiedzialności. W dzisiejszej twórczości filmowej ten typ bohatera jest właściwie dominujący.

Czy grali? Po prostu byli na ekranie, byli sobą. Dean niezależnie od roli był po prostu Deanem i Cybulski był po prostu Cybulskim. I właśnie w tym tkwiła jego wielkość jako aktora. Cybulski należy do tego rodzaju aktorów filmowych, którzy potrafią stworzyć własny mit. Słynny przed wojną Jean Gabin, „Don Juan z przedmieścia", jak go powszechnie nazywano, ucieleśniał na ekranie pewien mit istniejący poza nim, mit literacki, ściślej mówiąc. Także i Gerard Philipe powoływał do życia filmowego postacie mające swe prototypy w literaturze lub teatrze. Postacie kreowane przez Cybulskiego nie istniały poza nim, nawet jeśli posiadały swe pierwowzory literackie. Cybulski podobnie jak Dean, jest zatem odnowicielem aktorstwa filmowego, prekursorem nowego stylu, który dziś zyskuje sobie coraz większe prawo obywatelstwa (vide np. Jean Paul Belmondo).

Na naszym gruncie Cybulski był, niestety, jedynym tego typu zjawiskiem. I tu trzeba uczciwie powiedzieć, dziś, gdy jest już, niestety, za późno, że film polski nie potrafił dać temu aktorowi możliwości pełnego wygrania jego wielkiego talentu, wykorzystania jego osobowości.

Gdzie indziej pisano by pod niego role, robiono by dla niego filmy, tak jak robi się filmy dla Belmondo czy Briały. Nawet krytyka nie potrafiła często dostrzec wartości aktorstwa Cybulskiego, oceniając je czasem według zupełnie anachronicznych kryteriów.

Miał w sobie tyle życia, tyle fantazji, inwencji. Pasjonował się tyloma sprawami, wszystkimi porami chłonąc życie, otaczający go świat. Miał jeszcze wszystko przed sobą. Jak Maciek Chełmicki. I zginął w sposób tak tragiczny i nonsensowny jak on. Padł ofiarą własnego mitu. I zespolił się z nim na zawsze.

SPEKTAKLE tygodnia

Teatry

NOWY		
	„Pan Drops i jego trupa" 6 spektakli	4.200 — 100%
	„Kowal, pieniądze i gwiazdy" 1 spektakl	400 — 60%
NOWY Mała Sala		
	„Ojciec" 6 spektakli	900 — 75%
	„Anioł na dworcu" 1 spektakl	200 — 100%
POWSZECHNY		
	„My fair lady" 2 spektakle	1.209 — 90%
	„Pies ogrodnika" 3 spektakle	1.971 — 98%
	„Tajemnica starej wierzby" 2 spektakle	1.306 — 98%
	„Tango" 1 spektakl	668 — 100%
JARACZA (w sali „ROZMAITOŚCI")		
	„Namiestnik" 5 spektakli	3.095 — 96%
	„Taka noc nie powtórzy się więcej" 3 spektakle	1.114 — 80%
TEATR WIELKI		
	„Halka" 1 spektakl	1.280 — 100%
	„Kniaź Igor" 1 spektakl	1.280 — 100%
	„Straszny Dwór" 1 spektakl	1.280 — 100%
	„Carmen" 1 spektakl	1.280 — 100%

KRONIKA Antytelewizyjna

CZY NADUŻYŁ SYTUACJI?

Przedmówcy, wygłaszający słowo wprowadzające, jakże chętnie niektóre telewizyjne przereklamowują. Podobnie czynią to niekiedy wydawcy na skrzydełkach książek, raczej na skrzydełkach obwoluty. Oczywiście, niewiele ma to wspólnego z dawną naszą reklamą, gdy każdy film był „superprzebojem XX wieku".

Czy ze względów pedagogicznych należy to czynić? I dlaczego tak postępuje się w jednych dziedzinach, w innych zaś uchodzi to za nieprzyzwoitość. Nikt np. nie reklamuje poezji. Starsi jej odbiorcy po dziś dzień pamiętają przechwałki Tadeusza Peipera, traktując je ironicznie, aczkolwiek dorobek Peipera znakomicie wytrzymał próbę czasu.

Zdarzyło się jednak coś wręcz przeciwnego. Nie pisałem o „Oszukanej" Tomasza Manna, choć sztukę oglądałem, a nawet na nowo przeczytałem nowelę, by poznać mechanizm zabiegu adaptacyjnego, dokonanego przez Zbigniewa Bieńkowskiego. Zabieg trafił mi do przekonania. Rzecz w TV również raczej mi się podobała z wyjątkiem zakończenia, ckliwego i melodramatycznego, z wyjątkiem wtrętów przewodnika Emila Karewicza, których w tekście nie ma.

Ale oto tłumacz „Oszukanej" Andrzej Dołęgowski w „Życiu Literackim" ruszył do ataku przeciwko przedmówcy, dr Treuguttowi. Napisał:

„Ale tuż przed spektaklem wydarzyła się rzecz zadziwiająca. Zabrał mianowicie głos dr Treugutt, który w słowie wstępnym co najmniej dwukrotnie zgłosił zastrzeżenia do adaptacji. Jednym słowem tuż przed spektaklem napuścił widzów na to, co mieli dopiero oglądać! Praktyki te w Telewizji stają się coraz częstsze. Po niedawnej awanturze podczas giełdy piosenek inicjatywa Telewizji przybiera znamiona samounicestwienia. Niedługo dojdzie do tego, że przed każdym odcinkiem telewizyjnego programu wystąpi jakiś autorytet, który oświadczy telewidzom, że nie podoba mu się to, co za chwilę będą oglądać".

Zarysowuje się problem do dyskusji na temat roli przedmówców i komentatorów. Że mają wyjaśniać i uprzystępniać, to nie budzi wątpliwości. Ale czy muszą wyłącznie chwalić? Czy nie wolno im zgłaszać, ma się rozumieć w kulturalnej formie, swoich zastrzeżeń? Czy muszą reprezentować interesy redakcji danego programu, czy też mają prawo do wyrażania własnego poglądu?

Sygnalizuję: sprawa zasługuje na dyskusję. Nie mając w pełni wyrobionego zdania, pragnąłbym przytoczyć dwa względy. Rzecz przereklamowana najczęściej budzi u widzów zdecydowany sprzeciw. Ludzie nie lubią, gdy się im obiecuje więcej niż daje, gdy się ich nabiera. Rzecz „niedoreklamowana" prawdopodobnie natychmiast znajduje obrońców, zmusza do rzeczowej konfrontacji uwag krytycznych z utworem obejrzanym, zamiast psioczenia wywołuje dyskusję.

Co jest lepsze dla edukacji estetycznej odbiorcy?

* * *

Inną sprawę poruszył — może lepiej: przypomniał — Ludwik Krasucki w „Trybunie Ludu" z niedzieli 15. I. 1967 roku. Chodzi o nasz stosunek do aktorów.

Przypominając ich szczególną sytuację, nasze niezorientowanie w ich wysiłku fizycznym, umysłowym i emocjonalnym, ich zawód co wieczór narażający na ocenę — Krasucki apeluje, żebyśmy, widzowie, mniej pochopnie szermowali złośliwościami, zarzutami, zjeżdżaniem i wymyślaniem. Tym bardziej, dodajmy to od siebie, że łatwiej skrytykować niż zachcieć, niż znaleźć i ujawnić zalety, możliwość. Oddajmy głos publicyście:

Wszystko to jest chyba główną przyczyną, dla której uwielbiając aktorów — za mało ich szanujemy: tolerancyjni wobec siebie potrafimy od aktora wiele i bezlitośnie wymagać, rekompensując lekkomyślną krytykę nader skąpymi racjami prawdziwego uznania.

„Nie ma zawodu trudniejszego, bardziej uzależnionego od żywiołu ludzkich gustów, bardziej zdanego na bezlitosny osąd" — napisał kiedyś o aktorstwie Diderot. Czy uwzględnią to w Kwaterunku?

W dodatku, bo chodzi nie tylko o aktorów, warto jeszcze raz przypomnieć, że jakże ostrożni jesteśmy z krytyką ludzi, reprezentujących nie kręgi sztuki, ale inne dziedziny naszego życia. I jak często ci ludzie z innych dziedzin potrafią na krytykę, jeśli do niej dochodzi, zareagować! Ohooo!!!

* * *

Tydzień był urozmaicony i ciekawy. Zarówno w teleteatrze jak i telekinie. Przede wszystkim należy omówić sztukę Zdzisława Skowrońskiego „Dekret", która otrzymała drugą nagrodę na konkursie na sztukę telewizyjną w 1965 roku. Znam działaczy kulturalnych w Łodzi, którzy bez wahania zaopatrzyliby ją w etykietkę: „agraryzm". Bo w dodatku bohater sztuki Ślimak kojarzy się z prusowską „Placówką"... Sprawa jednak jest bardziej skomplikowana. Miły przypadek zdarzył, że oglądałem sztukę w większym gronie sympatycznych osób. Każdy z nas znajdował w niej inny ważny motyw. Samotność starego człowieka. Litera prawa i imponderabilia. Zagadnienie odpływu ludzi ze wsi do miasta, co się zaczęło w okresie uprzemysłowienia. Młodzi a przeszłość dla nich szeleszcząca kartką z podręcznika, być może, źle napisanego.

Zaletą sztuki jest jej oszczędny dialog, który pod koniec, niestety, przechodzi w tyrady. Zaletą sztuki jest też postawienie właśnie wielu istotnych pytań.

Jeszcze jedną narzucającą się pamięci kreację stworzył Kazimierz Opaliński. Wyraziście wypadł konflikt między Sędzią a Aplikantem. Więc z uznaniem należy wymienić nazwiska innych wykonawców: Barbary Rachwalskiej, St. Jasiukiewicza (Sędziego) i J. Englerta (Aplikanta) oraz R. Pietruskiego, J. Turka, J. Nowaka.

JAN HUSZCZA

O krytyce muzycznej i Teatrze Wielkim

— rozmowa z Jerzym Waldorffem

Łódzkie środowisko muzyczne ma do prasy, także do naszej redakcji, pretensję słuszną chyba, że piszemy o wszystkich dziedzinach sztuki — teatrze, plastyce, filmie — o muzyce zaś wcale. Prawda ta nie ma źródeł w niechęci do tej dziedziny sztuki lub tym bardziej do jej przedstawicieli. Dlaczego więc tak jest? Trudności obiektywne? Można i tak to nazwać. Sytuacja jest taka, że fachowcy, a więc zawodowi muzycy, są zawsze związani etatem z co najmniej jedną instytucją muzyczną, a to w pewnym stopniu krępuje ich swobodę wypowiadania się, może też zacierać ostrość czy obiektywizm widzenia pewnych spraw. Zawodowi dziennikarze natomiast, nawet obeznani z muzyką i jej problemami, krytykując zawsze spotkają się z zarzutem niefachowości i nieznajomości rzeczy. Nie jest to zresztą sytuacja typowa tylko dla Łodzi. Tak jest w gruncie rzeczy wszędzie, a szczególnie w mniejszych ośrodkach.

Pewien muzyk zauważył kiedyś nie bez racji, że historyk, który chciałby napisać historię muzycznej Łodzi — nie miałby trudności ze źródłami prasowymi aż do roku 1939. Po wojnie zapanowała w prasie głucha cisza na temat wydarzeń muzycznych w mieście. A przecież było ich wiele i jest coraz więcej. Co więc czynić? Jakie jest wyjście z sytuacji?

O rozmowę na te tematy poprosiliśmy Jerzego Waldorffa, najpopularniejszego w Polsce krytyka muzycznego. Jego popularność płynie niewątpliwie głównie stąd, że potrafił połączyć wiedzę muzyczną z odwagą cywilną i błyskotliwym talentem pisarskim.

ODGŁOSY: Może zaczniemy od sprawy podstawowej: jakie cechy powinien, Pańskim zdaniem, reprezentować krytyk muzyczny?

J. WALDORFF: Krytyk muzyczny tym różni się od muzykologa, że nie musi operować wiedzą muzyczną na poziomie uniwersyteckim, natomiast musi posiadać dostateczną jej ilość, aby wydawać sądy o muzyce. Jako przykład znakomitych krytyków muzycznych bez pełnego wykształcenia muzycznego można podać Teofila Gautier, Henryka Heine czy Jarosława Iwaszkiewicza. Ponadto krytyk musi władać atrakcyjnym i komunikatywnym piórem, mieć dobry smak i wreszcie — rzecz najważniejsza — mieć wielostronne poczucie odpowiedzialności. Wielostronne, bo odpowiada za ocenę zjawisk artystycznych, za skutki dla muzyki wynikłe z różnych ocen, za rozwój sztuki muzycznej, wreszcie za stopień zainteresowania społeczeństwa muzyką. Ta ostatnia rola agitatora muzyki jest szczególnie ważna w nowej krytyce i nowym społeczeństwie, w odróżnieniu od dawnej, mieszczańskiej społeczności wysoce kulturalnych melomanów, z którą krytyk prowadził jak gdyby tylko dyskusję na tematy muzyczne.

ODGŁOSY: Czy, zdaniem Pana, krytykiem może być muzyk zawodowy, zatrudniony w określonej instytucji muzycznej?

J. WALDORFF: To zależy od kultury środowiska, instytucji, odwagi cywilnej krytyka i poszanowania tej odwagi przez ową instytucję. W naszych warunkach sytuacja przedstawia się zgoła bez nadziejnie. Jak mawia pewien mój przyjaciel wysoko postawiony w hierarchii państwowej: kultura i savoir-vivre to jeszcze nie ten etap.

ODGŁOSY: Jak ocenia Pan stan krytyki muzycznej w Polsce?

J. WALDORFF: Po wojnie działy się w tej dziedzinie rzeczy zdumiewające. Przed wojną, w samej tylko Warszawie działało ok. 20 wykwalifikowanych krytyków różnych generacji i skrajnie różnych przekonań estetycznych i politycznych. Przed 20 laty, wobec przetrzebienia przedwojennej kadry krytyków, zostało ich zaledwie kilku, natomiast do pisania o muzyce zabrali się dziennikarze „wierszówkowicze", którym było wszystko jedno czy piszą o zniżce cen na wieprzowinę, czy o wysokim C tenora X. Obecnie mamy już całą kadrę krytyków utalentowanych, dobrze przygotowanych przez instytuty muzykologii. Wystarczy tu podać kilka nazwisk: Pociej, Erhardt, Malinowski, Zieliński, Kaczyński, Weber, Pilarski, Kański.

ODGŁOSY: Tak, ale to wszystko Warszawa. A reszta Polski?

J. WALDORFF: Ilość ośrodków muzycznych z własnymi orkiestrami i teatrami rośnie jeszcze szybciej, niż kadra młodych krytyków. Są sytuacje tak paradoksalne jak na przykład w Bydgoszczy posiadającej własną znakomitą filharmonię, zespół Capella Bydgostiensis pro Musica Antiqua, operę, gdzie nie ma ani jednego fachowego krytyka i od czasu do czasu zjeżdża tam pisać recenzje kolega Jankowski ze Szczecina. Drugim takim przykładem jest chyba Łódź, gdzie istnieje filharmonia, opera, operetka, orkiestra radiowa, pięć szkół muzycznych, twórcze środowisko kompozytorskie, a działa poważnie — obym się mylił — tylko jeden krytyk, Anna Grzybowska.

ODGŁOSY: Niestety, nie myli się Pan. Czy widzi Pan jakieś wyjście z tej sytuacji?

J. WALDORFF: Wyjścia są dwa. Po pierwsze: dać młodym krytykom mieszkania, gwarancję pełnej swobody ocen artystycznych i gwarancję odpowiednich zarobków (to też osobny problem. Słyszałem, że w jednym z pism terenowych, za gruntowną recenzję wielkości odcinka gazetowego krytyk dostawał honorarium wysokości 60 zł). Kadry krytyków powiększają się stale, kształci ich Instytut Muzykologii w Warszawie, kształci Wydział Muzykologii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

ODGŁOSY: A po drugie?

J. WALDORFF: Modlić się.

ODGŁOSY: Jeśli już jesteśmy przy remediach metafizycznych, to niektórzy powiadają, że trzeba się modlić, by Teatr Wielki w Łodzi znalazł sposób na wypełnienie swej widowni.

J. WALDORFF: Można, nie zaszkodzi, ale mówiąc poważnie — taka sala operowa to na pewno problem i kłopot, wydaje mi się jednak, że do rozwiązania. Mój projekt jest następujący. Odległość między Łodzią a Warszawą — półtorej godziny jazdy pociągiem — jest mniejsza niż między jednym a drugim krańcem Londynu. Praktycznie realna jest więc możliwość nawiązania ścisłej współpracy między Teatrem Wielkim w Łodzi a Teatrem Wielkim w Warszawie. Stała systematyczna wymiana solistów — śpiewaków i tancerzy, dyrygentów, a może nawet i zespołów, występy artystów Opery Warszawskiej w Łodzi i Opery Łódzkiej w Warszawie — będą równie atrakcyjne dla widzów obu miast, co pożyteczne dla frekwencji.

ODGŁOSY: Dziękujemy za pomysł i za rozmowę.

Rozmawiała:
TERESA WOJCIECHOWSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

Francuski plakat reklamujący „Hrabiankę" Z Hongkongu".

„HRABIANKA Z HONGKONGU"

■ Najnowszy film Charlie Chaplina pt. „Hrabianka z Hongkongu" (od blisko roku dość szumnie reklamowany) nie zyskał oczekiwanego uznania ze strony angielskich krytyków. Jeden z nich stwierdził bez ogródek, że film „Hrabianka z Hongkongu" mógłby doskonale pochodzić z 1930 roku, a jego właściwym zastosowaniem byłby nie ekran, ale natychmiastowe złożenie go w kinotece. Oburzony Charlie Chaplin nazwał krytyków poddających w wątpliwość wartość jego filmu, głupcami, zarzucając im, że nie posiadają ani poczucia humoru, ani znajomości stylu, ani też wyobraźni. W Paryżu Charlie Chaplin przyjmowany był bardzo serdecznie i ciepło, ale jego film nie wzbudził również entuzjazmu. Zapytany przez francuskich dziennikarzy, co myśli o atakach angielskich krytyków odpowiedział, że jego filmy zawsze były w Anglii niechętnie przyjmowane przez krytykę, natomiast publiczności zawsze się bardzo podobały. Sprawdził to sam wchodząc incognito na sale kinowe. Czy uważa swój film „Hrabianka z Hongkongu" za arcydzieło? „Oczywiście" — odpowiedział Chaplin. „Jest to komedia, która ma wiele ciekawych pomysłów, charakteryzuje ją inwencja i wdzięk. To mój najlepszy film" — stwierdził. Podobno, jak podała prasa, Charlie Chaplin nie zrażony zarzutami jakie mu postawiono, zapowiedział realizację swego nowego filmu w którym będą grały jego dwie córki: siedemnastoletnia Josie i piętnastoletnia Vicky. Siedemdziesięciosiedmioletni Charlie sam napisze scenariusz i sam będzie film reżyserował. Nie ukrywa też, że projekt nakręcenia nowego filmu powstał po skrytykowaniu przez angielskich recenzentów

„Hrabianki z Hongkongu". Nowy film ma być odpowiedzią na ich zarzuty.

SUKCES FILMÓW CZECHOSŁOWACKICH W AMERYCE

■ Kilka spośród ostatnich filmów czechosłowackich pokazano na festiwalu w Nowym Jorku w dniach od 12 do 22 września ub. roku.

Filmy te spotkały się z dużym uznaniem publiczności i krytyki filmowej, która podkreślała odrębność stylu i oryginalność kinematografii czechosłowackiej.

Sukces ten nie pozostał bez wpływu na kwestie komercjalne. Film pt. „Sklep przy Głównej Ulicy" przyniósł już 1.600.000 dolarów. W wyniku sukcesu na festiwalu przedsiębiorcy amerykańscy zakupili 15 filmów czechosłowackich.

Mówi się też o współpracy amerykańsko-czechosłowackiej w dziedzinie produkcji kinematograficznej.

NIEZNANE OBRAZY MICHAŁA ANIOŁA I TYCJANA?

■ W Nonantola koło Modeny odnaleziono obraz, którego autorem, jak się przypuszcza, jest Michał Anioł Buonarroti. Płótno o wymiarach 49 na 50 cm pochodzi z roku 1545 lub 1547 i przedstawia scenę z Nowego Testamentu. Dyrekcja British Museum w Londynie stara się o fotograficzną kopię tego obrazu, gdyż w zbiorach Muzeum znajduje się obraz Michała Anioła o identycznej treści.

Obraz Tycjana odkryto w jednym z muzeów w Wiedniu podczas prac renowacyjnych płótna jednego z włoskich malarzy. Otóż okazało się, że z drugiej strony obrazu owego włoskiego artysty znajduje się szkic prawdopodobnie wykonany przez Tycjana, a sporządzony przez niego przed malowaniem obrazu, którego tematem jest złożenie Chrystusa do grobu.

TYDZIEŃ FILMU CZECHOSŁOWACKIEGO

■ Za kilka tygodni odbędzie się w Paryżu Tydzień Filmu Czechosłowackiego. Festiwal ten zorganizowany jest w ramach wymiany, gdyż w grudniu ub. roku sześć filmów francuskich zostało wyświetlonych w Pradze podczas Tygodnia Filmu Francuskiego. Pierwszy taki festiwal w Czechosłowacji odbył się dwadzieścia lat temu.

ROLAND PETIT I JEGO BALET

■ „Carmen" jaką wystawił Roland Petit w Państwowej Operze w Hamburgu jest mieszaniną patosu i ironii" — pisze recenzent teatralny dziennika „Die Welt". Ten taniec z komedii przeistacza się w tragedię, aby znów przejść w formę komediową. Wzniosłość i dowcip splatają się nierozerwalnie, znakomicie się równoważąc. Recenzent nie szczędzi pochwał i wyrazów zachwytu temu paryskiemu baletowi, który obok zespołu Bejarta stał się jednym z najciekawszych i najlepiej prowadzonych francuskich grup choreograficznych.

Niecały rok temu Roland Petit zaznaczył się w Paryżu niezwykle pomysłowym i oryginalnym, nowatorskim wystawieniem dziewięciu obrazów baletowych pod wspólnym tytułem „L'éloge de la folie". Na scenie olbrzymki — kobiety ubrane w tekturowe kostiumy o krzykliwych barwach, odgrywały m. in. scenę „Kobieta u władzy". Nie byle kto robił projekty do tych kostiumów, bo Niki de Saint-Phalle, głośna zwłaszcza od czasu, gdy w zeszłym roku wystawiła w Sztokholmie rzeźbę - budowlę olbrzymiej, nagiej kobiety, w stylu pop-artu i op-artu, szokującą seksualizmem i wyzywającymi, krzykliwymi kolorami.

Pomysł wystawienia baletu „L'éloge de la folie" przyszedł jego twórcy do głowy, gdy wałęsał się nad Sekwaną przyglądając się książkom na straganach bukinistów. W pewnym momencie jego wzrok padł na dzieło słynnego filozofa-humanisty Erazma z Rotterdamu (ok. 1466—1536) „Pochwała głupoty" (francuski tytuł: „L'éloge de la folie", przy czym „la folie" oznacza w pierwszym rzędzie „szaleństwo", „obłąkanie"). Kupił książkę, a choć niewiele z niej przeczytał wpadł na pomysł zrobienia na jej podstawie baletu pod tytułem zapożyczonym od Erazma z Rotterdamu. I oto przyjaciel Rolanda, pisarz polityczny i były sekretarz Sartre'a, Jean Cau napisał libretto baletowe.

„Chcielibyśmy — powiedział już po wystawieniu baletu — Roland Petit — napiętnować wszystko co w naszym wieku jest złe".

I balet rzeczywiście przy pomocy środków ekspresji choreograficznej starał się przedstawić skutki nadużywania środków nasennych i podniecających, wskazać na okrucieństwo wojny, przedstawić uczuciową pustkę i jałowość banalnej miłości. Jak stwierdzali recenzenci udał się zamiar Petit Rolanda, jeśli nie całkowicie, to prawie całkowicie.

Roland Petit swe pierwsze kroki artystyczne stawiał w balecie paryskiej opery, u boku swej żony Zizi Jeanmaire. Potem sformował już swą własną grupę, w której uczestniczyły tak wybitne baletnice jak Ludmiła Czerina i Zizi Jeanmaire. Libretta pisali tacy wybitni twórcy jak m. in. Anouilh. Pod kierunkiem Rolanda Petit zespół osiąga sukcesy w Paryżu, potem udaje się na występy zagraniczne. Gdy wraca do stolicy Francji wystawia „Notre Dame de Paris" według Wiktora Hugo („Dzwonnik z Notre Dame").

Ostatnio wystawiona „Carmen" w oparciu o słynne dzieło operowe Bizeta, świadczy o nieustannej żywotności baletu, poszukiwaniu różnych środków - wyrazowych i niespożytej aktywności twórczej jego kierownika i reżysera Rolanda Petit.

Angele Albrecht w roli Carmen.

POLONICA

HOLENDERSKA KSIĄŻKA O POLSCE

Dotarła do nas, wydana w Holandii, książka o Polsce pt. „Polen". Autor tej blisko 300 stron liczącej pracy, Milo Anstadt, napisał ją z pozycji sympatii i życzliwości dla naszego kraju, jego historii i kultury. Sporo miejsca poświęca autor Ziemiom Zachodnim, odzyskanym przez Polskę w wyniku ostatniej wojny oraz granicy na Odrze i Nysie. Milo Anstadt opowiada się za uznaniem tej granicy jako granicy pokoju w Europie. Książka Anstadta z pewnością przyczyni się do spopularyzowania w Holandii naszego kraju, jego dążeń i osiągnięć.

20 LAT TOWARZYSTWA AUSTRIACKO-POLSKIEGO

W końcu ubiegłego roku minęło 20 lat istnienia Towarzystwa Austriacko-Polskiego, które w r. 1946 powstało w Wiedniu. W związku z tym Towarzystwo wydało specjalny numer czasopisma „Polen in Wort und Bild" (Polska w słowie i obrazie), bogato ilustrowanego, które oprócz sprawozdań z działalności TAP, zawiera także recenzje z polskich książek, wydanych za granicą, artykuł o Janie Kiepurze, fragment sztuki L. H. Morstina „Penelopa" (w przekładzie Gerdy Hagenau), oraz obszerny fragment przemówienia prof. Jana Zygmunta Jakubowskiego o Sienkiewiczu, wygłoszonego w wiedeńskim Instytucie Slawistycznym w związku z 50 rocznicą śmierci autora „Quo vadis". Treści pisma dopełniają depesze gratulacyjne od najwyższych władz państwowych Polski i Austrii, nadesłane Towarzystwu z racji jego jubileuszu.

KARIERA KSIĄŻKI ANDRZEJA BRYCHTA ZA GRANICĄ

Do wyjątków należą książki o tak błyskawicznej karierze jak książka Andrzeja Brychta pt. „Dansing w kwaterze Hitlera".

Wydana w roku 1966 w Polsce, zapowiada się jako bestseller w wielu krajach Europy.

W niedługim czasie jej przekłady ukażą się w Czechosłowacji, Francji, Jugosławii, NRF, we Włoszech, na Węgrzech i w Związku Radzieckim.

Andrzej Brycht wydał dotychczas kilka pozycji książkowych, z których wypada przypomnieć choćby „Czas bez Marii", „Czerwony węgiel", „Suche trawy", „Opadanie ziemi" i „Ulica pomarańczowa".

Niedawno Andrzej Brycht przebywał w Monachium, dokąd został zaproszony przez jednego z wydawców zachodnioniemieckich.

(el)

POLONICA

ROMAN GORZELSKI

Sprawy polskie w Czechach

Już na dworcu głównym — „Praha hlavne nadraží" wzrok Polaka przybywającego do stolicy Czechosłowacji spotyka w pobliskim kiosku pośród szeregu rozwieszonych różnojęzycznych gazet i tygodników — „Życie Warszawy" i kolorowy ilustrowany „Film", ze znaną z ekranu polską aktorką lub aktorem. Za oszklonymi szerokimi drzwiami jednej z sal wielkiego dworca godzinę odjazdu pociągu poda nam bardzo uprzejmie i po polsku czeska informatorka, która z wielką swobodą odpowiada na pytania turystów zadawane w języku rosyjskim, polskim, angielskim czy niemieckim. Ale dopiero na Vaclavske Naměsti Słowianin znad Wisły czuje się naprawdę zupełnie swojsko, bo na tym placu, zaledwie kilkanaście metrów od monumentalnego pomnika świętego Wacława, na jednym z domów znajdujemy dość dużą wiśniową tablicę informującą, że to właśnie tutaj znajduje się ambasada polska. A po przeciwległej stronie ruchliwego placu, pełnego ludzi, tramwajów i samochodów wznosi się wielopiętrowy doskonale zaopatrzony dom towarowy. Drzwi wyjściowe tego „kramu" (kram — to po czesku sklep), który oficjalnie nazywa się „Dum mody", wyrzucają już obładowanych paczkami ludzi (wśród nich jest wielu Polaków) na niezbyt szeroką ulicę Krakovska biegnącą w stronę pociętej mostami Wełtawy.

W gablocie za szkłem na olbrzymiej fotografii klęczy Mieczysław Voit ubrany w czarną sutannę. Ma uniesione do góry niespokojne oczy i złożone jak do modlitwy ręce. Przechodnie zatrzymują się przed tym trochę niecodziennym fotosem a przed kasą kina „Jalta" stoi kolejka kupujących bilety na polski film „Matka Joanna od Aniołów".

Prawdą jest, że Czesi interesują się Polską, ale niewątpliwie najważniejszą placówką popularyzującą nasz drobek z dziedziny kultury jest „Polski ośrodek kulturalny" w Pradze. Szczęśliwie obrane miejsce, w którym się ta placówka znajduje (róg ulicy Opletalovej i Placu Świętego Wacława) sprawia, że o każdej porze dnia można tam spotkać wielu kupujących. W ośrodku tym są prawie wszystkie nasze tygodniki ilustrowane, pisma literackie, gazety... W stoisku z książkami ustawione na półkach i rozłożone na ladzie widzimy nowości „Czytelnika", „PIW" i innych wydawnictw. Pra żanie odwiedzają także znajdującą się na pierwszym piętrze estetycznie urządzoną czytelnię polskich czasopism. W hallu ośrodka organizowane są często wystawy polskich plastyków. I właśnie one, jako najbardziej „czytelne" budzą największe zainteresowanie, prowokują niejako do odwiedzenia bogato zaopatrzonego działu wyrobów cepeliowskich, artystycznej ceramiki, biżuterii, a te artykuły są sprzedawane w dużej ilości.

W czeskiej prasie codziennej można przeczytać wiele informacji o naszym kraju. I tak np. „Rude Pravo" podaje szereg ciekawych wiadomości z dziedziny polskiego filmu, literatury, teatru, przemysłu, a nawet przytacza dane statystyczne... o naszym przyroście naturalnym. Styczniowy numer „Zemledélne noviny" zamieścił artykuł pt. „Trochę historii o polsko-czeskiej Śnieżce", z którego dowiadujemy się, że pierwszym oficjalnym zdobywcą tego szczytu był pewien czeski kupiec. Oczywiście, zawędrował tam w poszukiwaniu złota i drogich kamieni. A było to w roku 1456. Na Śnieżce bawił też Goethe w 1790 roku. Obecnie spotykają się tam Czesi i Polacy.

Czesi, którzy uczynili naszą kadrę narodową grać w hokeja, z wielkim zainteresowaniem śledzą poczynania Polaków w spotkaniach międzynarodowych w tej dyscyplinie sportu i chociaż w tym samym czasie toczył się „turniej stulecia" i prawie całe kolumny były poświęcone tym meczom, wywiadom i horoskopom na przyszłość, gazety codzienne w dziale ciekawostek ze sportu na pierwszym miejscu wymieniły sukces polskich hokeistów w spotkaniu z Norwegami.

Polak w Pradze nie czuje się zagubiony. Nawet dłuższy pobyt w tym mieście nie powoduje nostalgii. Bo Praga, jak powiedział mój przyjaciel — czechofil, to prawie część Polski. I wiele prawdy kryje się w tym nieco osobliwym stwierdzeniu. Bo przecież w Pradze również można pójść na spacer na ulice Mickiewicza położoną w pięknej willowej dzielnicy w Hradczanach, a po wyjściu z Muzeum Narodowego można krążyć ulicami: Jagiellońską, Polską, Warszawską, Kopernika... W sklepie spożywczym można kupić kiełbasę, która nazywa się „polska", a w restauracji zjeść smaczne danie mięsne o nazwie „pieczeń polska" nie mówiąc już o bigosie, który zdobył sobie uznanie niemalże w całej Europie. Kiedy turyście zabraknie filmu do aparatu fotograficznego, w najbliższym praskim sklepie kupi za pięć koron „Fotopan made in Poland".

W sklepie muzycznym „Supraphonu" na wystawie eksponowane są płyty. Ostatnie nagrania piosenek w wykonaniu Karela Gotta, Waldemara Matuszki, Jelinka; album składający się z kilku płyt pt. „Przygody dobrego wojaka Szwejka" pióra Jarosława Haszka. Ale najbardziej nas interesuje centralna część wystawy: nagrany przez „Muzę" longplay z „Halką" Stanisława Moniuszki, a także polskie przeboje w wykonaniu Ireny Santor i Bohdana Łazuki.

W księgarni również spotykamy miłe dla polskiego oka propozycje: Konstanty Gałczyński „Zielona gęś" (Zelena husa), Roman Bratny „Kolumbowie rocznik dwudziesty" (Kolumbové dva cateho rocniku), Henryk Sienkiewicz „W pustyni i w puszczy" (V pusti a v pralese), Leon Kruczkowski „Młode lata".

W czeskiej telewizji często można obejrzeć polski film, a w radio posłuchać polskiej piosenki. Czesi interesują się Polską nie tylko z przyjaźni dla Polaków. Do wielu spraw podchodzą po prostu komercyjnie, przyjmują to co jest dobre i chyba nie należy o to do nich mieć pretensji. A Polacy? Niektórzy, zakochani w naprawdę pięknej złotej Pradze, wracają do niej wielokrotnie, jak pewien starszy kulturalny nobliwie wyglądający pan, który zwierzył mi się w czasie rozmowy na dworcu Łódź — Kalska, że będzie to już jego piętnasty pobyt w tym mieście.

MACIEJ WYSOCKI

SPÓJRZ im W TWARZ

Być taksówkarzem — to nerwowe zajęcie. Nie tylko dlatego, że gołoledź, mgła, i wypadki piętrzą się na drogach. Taksówkarz, to przecież taki gość, co zawsze ma w kieszeni parę groszy, i zastąpić go można przy sterze...

1.

Kiedy wypili pierwszą półlitrówkę, stary Fred zapalił papierosa, zaciągnął się z lubością, aż do trzewi, i powiedział, żeby nie czekać, żeby to zrobić od razu, bo jak nie, to się co nie daj Boże znajdą inni, i rozbiją ten bank.

Stary Fred, który miał przypłaszczone jedno ucho i dopiero niedawno wyszedł z kryminału, radził zacząć akcję od sklepu z wódką — sterroryzować ekspedientkę i wyłuskać całodzienny utarg.

— Potem mówił — weźmiemy legalnie taksówkę i zapłacimy za kurs z góry. W Łęczycy taksiarz poczeka gdzieś na boku i nic nie będzie wiedział, że robimy stację benzynową...

To był dobry plan. Podobał się Jasiowi. Jasio — młody, dwudziestodwuletni kumpel Freda — też niedawno wyszedł z kryminału i pilnie potrzebował pieniędzy: kochankę sobie znalazł, której mąż w matrosach służył, i ta kochanka miała duże wymagania.

— Dobra jest — powiedział Jasio.

Dokończyli drugiego półlitra. Jasio nóż poprawił w karmanie, a Fred — kolbę, i wyszli na ulicę, na której dzień dogorywał jesienny w wilgotnym mroku.

Alkohol stępił trochę podniecenie. Czuli się dobrze, pewnie. Ale kiedy doszli do monopolu, okazało się, że sklep już zamknięty. Wówczas Fred, co miał przypłaszczone jedno ucho i dużo pomysłów pod ręką, zmienił błyskawicznie pierwszą część planu:

— Zrobimy taksówkarza — powiedział. — Zrobimy jedną taksówkę, po to, żeby mieć pieniądze na drugą. A za drugą zapłacimy legalnie. W tą i z powrotem. Do samej Łęczycy.

Zdążyli jeszcze uradzić, że po tym skoku, wielkim skoku, spotkają się dopiero za miesiąc. W mieszkaniu Freda. Zdążyli to jeszcze uradzić, bo już nadjeżdżało przeznaczenie: taksówka z numerem (umownym) XZ0816, „warszawa" starego typu. Z taksówki wysiadła najpierw mała dziewczynka z długim warkoczem jasnych włosów, a za nią — starsza, na czarno ubrana kobieta

2.

Ignacy Kryński lubił swoją robotę. Nie lubił natomiast ciemności. Miał już taki zwyczaj, że o zmroku, nawet po pierwszym, kiedy to najłatwiej zarobić, zjeżdżał do garażu i czekał z pracą na świt. Tego dnia, jesienny wilgotny zmrok zapadł szybko, jeszcze przed szóstą, więc Ignacy, wierny swoim przyzwyczajeniom złamał chorągiewkę licznika i ruszył z odległego Helenowa do Śródmieścia, gdzie jest jego dom.

Po drodze spotkał kobietę z dzieckiem. Machała rozpaczliwie ręka usiłując zatrzymać wóz. Ignacego uderzyło, że kobieta ma na sobie czarne, żałobne ubranie. Przyhamował. Powiedziała, że musi się dostać na Bałuty, ulica Wojska Polskiego numer taki i taki. „Niech pani wsiada" — powiedział.

To nie był długi kurs. Licznik wybił tylko sześć pięćdziesiąt. Kobieta zapłaciła, Ignacy wydał resztę. Najprzód wysiadła dziewczynka, smutna czegoś, ze śladami łez na twarzy, a potem ta kobieta w czerni. Ignacy chciał już ruszyć, ale ktoś otworzył tylne drzwi i do wozu wpakowało się dwóch gości. „Jestem zajęty" — powiedział Ignacy. „My tylko do Łagiewnik" — powiedział któryś z tych dwóch — „Jedź pan, szefie, bo nam się cholernie spieszy". „Ale ja — upierał się Ignacy — skończyłem na dzisiaj robotę". „To nic — powiedział ten głos — my panu dobrze zapłacimy. „Ile"? „Setkę" — rzekł ten głos.

Wtedy Ignacy zapalił światło i przyjrzał się tym z tyłu. Jeden miał młodą, chorobliwie bladą twarz, jakby przedwczoraj wyszedł z więzienia; drugi, ten starszy, miał spłaszczone, sklejone z głową ucho i intensywny, czarny zarost.

— Po co te światło, szefie? — zapytał ten starszy.

— Bo lubię wiedzieć z kim jadę.

Było to po szóstej wieczorem, na ulicy wielkiego miasta, i kierowca taksówki XZ0816, Ignacy Kryński, widział jeszcze kobietę w czerni i małą, jasnowłosą dziewczynkę; ginęły z wolna w jednej z bałuckich bram. Prysło nagle szkło samochodowej lampki i zapadła ciemność. Ignacy poczuł jak ten starszy przeciąga mu ręce przez oparcie i wykręca w stawach. Potem ściągnęli go we dwóch z miejsca przy kierownicy na tylne siedzenie. Ten młodszy wyrwał z kieszeni nóż i zaczął kłuć. Starszy macał piersi Ignacego lufą pistoletu, zupełnie, jakby szukał serca. Ignacy złapał lufę lewą ręką i odepchnął rozpaczliwie od siebie. Ten młody ciągle kłuł nożem, ale w ciemnościach musiał uważać, żeby nie zranić kolegi, i ciosy, które padały na pierś i żołądek Ignacego, nie miały odpowiedniego rozmachu. Walka o pistolet trwała: Ignacy wyczuł, że ręka napastnika zaczyna słabnąć. Padł strzał. Kula wytłukła prawą, przednią szybę. Wówczas ten starszy, z pistoletem w ręce, oderwał się od Ignacego, przeskoczył na przednie siedzenie, do kierownicy i auto potoczyło się z miejsca.

Nadal trwała walka. O nóż. Ignacy ścisnął przegub napastnika i próbował oswobodzić się z uścisku, w którym tamten trzymał jego głowę. Ale najważniejszy był nóż. Ignacy szybko tracił siły, krwawił z ran piersi i brzucha, czuł wilgotną lepkość spływającą z ciała, i pot zalewał mu oczy. Zdobył się na ostatni wysiłek. Wbił paznokcie w przegub napastnika i nóż upadł z cichym brzękiem na podłogę. Po ten nóż napastnik się nie schylił, bo trzymał w kleszczach głowę Ignacego i bał się zwolnić chwyt. Ignacy zobaczył w lusterku błysk reflektorów. Jechało za nimi jakieś auto. Postanowił dać znak. Wolne miał tylko nogi. Opierając się plecami o napastnika, położył się na siedzeniu i próbował otworzyć drzwi nogami. Znał tę swoją cholerną klamkę z lewej strony. Ciągle się zacinała. Musiał kopnąć ją do góry góry czubkiem buta, i jeszcze raz, i jeszcze... a potem, z całej siły, obcasem w dół, pchając jednocześnie drzwi drugą nogą. Wreszcie puściły. Zaczął wachlować drzwiami. Ten wóz z tyłu, jego kierowca — musiał coś zmiarkować, bo włączył klakson i dopędzał po mału „warszawę", która wjeżdżała właśnie w Łagiewnicką. Na śliskich, kocich łbach trwał morderczy wyścig. Opryszek z pistoletem przydusił gaz do dechy, ale ten wóz z tyłu był szybszy. Zrównał się wreszcie z „warszawą". Kiedy chciał zajechać jej drogę, opryszek strzelił przez boczną szybę. Ignacy widział, jak auto, to był „moskwicz", wytraca szybkość i chowa się znowu za „warszawą". Jakiś czas jechał za nim na klaksonie, i nagle zaległa cisza. Zbliżali się do lasu. „Koniec" — pomyślał Ignacy. Jeden, drugi, trzeci zakręt, w pełnym biegu. „Jeśli nie wyskoczę, wykończą mnie". Ale ten młodszy opryszek, puścił tymczasem Ignacego zdezorientowany, wytrącony z równowagi drugim strzałem. Ignacy dobrze znał trasę. Jeździł tu setki razy. Wiedział, że następny zakręt będzie ostry, i bandyta, chce czy nie chce, musi zwolnić. Zwolnił. Wtedy Ignacy zwinął się w kłębek i wytoczył na drogę. „Warszawa" popędziła dalej.

Ignacy przeleżał kilka minut na skraju łagiewnickiej szosy. Był u skraju przytomności i broczył nieprzerwanie krwią. Nagle zobaczył światła PKS. Dźwignął się na klęczki i wyciągnął ręce. Autobus stanął. Był pusty. Tylko kierowca. „Do szpitala" — powiedział Ignacy. Kierowca powiedział, że nie może samowolnie zbaczać z kursu (był później za to sądzony). Wówczas Ignacy kazał kierowcy zatrzymać nadjeżdżające z przeciwka auto. Okazało się, że to ten „moskwicz", do którego strzelali bandyci. Kierowca „moskwicza" odwiózł Ignacego do szpitala i złożył zeznania w komendzie MO. Rozpoczął się pościg.

2.

Ze Zgierza wracał radiowóz MO. Sierżant, który dowodził grupą operacyjną, przeprowadzającą w rejonie Zgierza akcję „bimber", nie krył złego humoru. Wyprawa zakończyła się fiaskiem. Skrupulatne przetrząśnięcie podejrzanych domostw nie przyniosło rezultatu i ślad bimbrowy urwał się raptownie. Teraz wracali do bazy. W milczeniu. Sierżant palił papierosa i wpatrywał się ponuro w śliską, spaczoną światłem reflektorów drogę.

Przed Łagiewnikami kierowca wyłączył długie światła. Z przeciwka zbliżało się jakieś auto. Kierowca tego auta nie zareagował na zmianę świateł: pędził wciąż na długich, oślepiając nadjeżdżający radiowóz. Wówczas sierżant polecił, żeby zupełnie wyłączyć światła i uruchomić milicyjny wiatrak. Efekt był natychmiastowy. Nadjeżdżająca „warszawa" zatrzymała się nagle, drzwi po obu stronach otworzyły się z trzaskiem, i sierżant zobaczył dwa cienie rozbiegające się w dwie różne strony od szosy, w las.

Sierżant zorganizował pościg. Natychmiast. Ale ciemności i wilgotne podszycie lasu — sprzyjały tym, co uciekali. Sierżant jeszcze raz tego wieczoru miał powody narzekać na pech: w porzuconej „warszawie" nr XZ-0816 znalazły się dwie łuski z pistoletu, długi nóż z kościaną rękojeścią i kałuże skrzepłej krwi.

Zaraz potem zjechały do Łagiewnik inne radiowozy MO, zaalarmowane przez kierowcę „moskwicza". Zaczęło się drobiazgowe śledztwo.

3.

Ignacy Kryński odzyskał przytomność dopiero na trzeci dzień po napadzie. Miał siedem ran kłutych. Po utracie dużej ilości krwi, przechodził ciężką depresję psychiczną, natychmiast jednak udzielił informacji oficerowi służby kryminalnej; na podstawie jego zeznań i opisów sporządzono dwa (jak się później okazało: niezwykle trafne) portrety przestępców. Jeszcze tego samego dnia portrety pokazała Telewizja.

Poszukiwania poszły także innym, niezawodnym — jak przypuszczano — tropem. Łuski. Jest w Warszawie archiwum broni palnej. W tym archiwum znajduje się rejestr wszystkich egzemplarzy broni krótkiej i długiej, z każdego egzemplarza nastąpił w czasie rejestracji, dwukrotny odstrzał. Po dwie łuski zostały, po każdym na pamiątkę. Nie ma na świecie dwóch pistoletów, choćby tego samego kalibru i marki, które zostawiałyby identyczny ślad na łuskach.

A jednak — pewny, jakby się zdawało, trop zawiódł. Broń, z której strzelano w taksówce XZ0816, nie miała swoich „odcisków" w archiwum. Nie była więc rejestrowana. Ponieważ rejestracja broni odbyła się w 1959 roku — stało się jasne, że pistolet opryszków pochodzi z okresu znacznie wcześniejszego.

Poszukiwania poszły również „po odciskach palców", ale jeszcze przedtem...

4.

Przedtem nastąpił szereg konfrontacji Ignacego z przestępczym światkiem. Oglądał podejrzanych piątkami. Czasami dwie, trzy piątki bezczelnych, zdegenerowanych twarzy jednego dnia. Ignacy nie rozpoznał jednak wśród tych ludzi swoich oprawców.

— A na pewno ich pamiętacie — powątpiewał prokurator.

— Na pewno! — odpowiadał z uporem Ignacy.

Tymczasem MO — poprzez odciski palców na rękojeści noża, i strzępy zakrwawionej koszuli, które znalazły się na jednym z podwórkowych śmietników — zaczęła obserwować niejakiego Jana W. Właściwie — nie było wątpliwości, że jest on jednym z uczestników napadu. Ale chodziło o to, aby Jan wskazał drogę do swego wspólnika: z tej przyczyny pozostał o tydzień dłużej na wolności, strzeżony dyskretnie, na każdym kroku, w dzień i w nocy przez troskliwych milicjantów.

Jan W. nie spotkał się jednak z kolegą. Spotkanie wyznaczyli sobie — jak pamiętacie — w miesiąc po napadzie, a miesiąc jeszcze nie minął.

Zresztą, dla dalszego toku sprawy okazało się to nieistotne. — Jan W., skoro tylko znalazł się w areszcie, wydał swojego wspólnika bez skrupułów. Wspólnikiem tym był recydywista Fryderyk J. Aresztowano go w chwili, kiedy w jednym z łódzkich zakładów odbijał kartę pracy w portierni.

Nastąpiła jeszcze jedna konfrontacja Ignacego Kryńskiego z przestępcami. Poznał ich w tłumie innych opryszków bez trudu. Miało to decydujący wpływ na to, że Fryderyk J., który z uporem udawał wariata („Ja nic nie wiem! Ja nic, panowie, nie zrobiłem") przyznał się wreszcie do winy.

I tu, w zasadzie, można by zakończyć tę historię. Dodać, co najwyżej, że ciągle jeszcze znajdują się ludzie, którzy dla marnych paru groszy, zamienianych z reguły na alkohol, gotowi są zamienić złotą wolność na celę więzienną, i czyjeś życie — w śmierć. Metody ścigania przestępców — laboratoria, archiwa, węch psów milicyjnych, ofiarność funkcjonariuszy MO, ich odwaga, inteligencja, wytrwałość — wszystko to nie daje elementowi przestępczemu najmniejszych nawet szans. Więc...

5.

Więc mylił się Fryderyk J., kiedy myślał, że wystarczy przyznać się do winy. W sprawie napadu na taksówkę XZ0816 brakowało jeszcze ostatniego ogniwa. Pistolet. Były łuski wystrzelone w samochodzie — pistolet zniknął jak kamfora.

W pierwszej wersji Fryderyk J. zeznał, że pistolet zostawił w łagiewnickim lesie. Przeszukano las. Bez skutku.

W drugiej wersji zeznał, że pistolet schował do kieszeni płaszcza i ten płaszcz, skrwawiony i rozdarty, cisnął do kanału. Przedsiębiorstwo Oczyszczania Miasta odnalazło wprawdzie płaszcz w kanale, ale kieszeń była pusta...

I w końcu trzecia, prawdziwa wersja. Przyznał się nareszcie, że pistolet pożyczył (na jeden dzień) od swojego przyjaciela, niejakiego Wiktora J. Pod wskazanym adresem pistolet znalazł się rzeczywiście. Spoczywał, zaszyty w bordowym pluszu otomany.

W ten sposób sprawa XZ0816 otrzymała ostatnie ogniwo i zamknęła się logicznie. Muszę jednak dodać, że „ostatnie ogniwo", miało stać się początkiem innego łańcucha zdarzeń. Bo czegoż to Wiktor J. nie planował przy pomocy swojej kolby... aż strach mówić. Jest to temat na następny reportaż.

Lewym okiem

SPRAWY O WIELKIM ZASIĘGU

Pewien zakład produkcyjny, na przykład Kozienice, miał dostarczyć do pewnego niedużego sklepu MHD, na przykład w Cieplicach, modne męskie szelki, w początkach października. Dostarczył o sto par mniej, niż spisano w umowie. To dużo, czy mało?

Zakład ma około dwustu odbiorców, ten z Cieplic należy do najmniejszych. Sto par to malutki ułamek dziennej produkcji. Dla sklepu MHD w Cieplicach sto par to może i dużo.

Co robią działacze gospodarczy na wszystkich szczeblach? Rusza na Polskę lawina papieru.

Sklep cieplicki skarży się swojemu Zjednoczeniu Przedsiębiorstw Handlowych, że zakład X zalega z dostawą stu par, należnych w październiku. Urzędnik w tymże Zjednoczeniu wie o sprawie tylko tyle, ile przeczytał w zażaleniu, ale „nadaje bieg": pisze do Wydziału Handlu Prezydium właściwej Wojewódzkiej Rady Narodowej.

Po przejściu odpowiednich dzienników podawczych, sekretariatów, podpisów i dekretacji list trafia do właściwego referenta, który — nie chowając sprawy pod sukno — przepisuje go i wysyła do Ministerstwa Handlu.

Żeby nie nużyć Szanownych Czytelników: Ministerstwo Handlu kieruje nowy list, z bardzo ważnym podpisem, do Ministerstwa Właściwego Przemysłu, które nadzoruje między innymi przemysł szelkowy, z prośbą o zbadanie sprawy i odpowiednia interwencję. Ministerstwo Przemysłu pisze mocny list do Zjednoczenia Przemysłu Szelkowego z żądaniem wyjaśnień, dlaczego Kozienice nie wysłały w październiku stu par szelek do Cieplic, oraz z poleceniem zbadania sprawy, wyciągnięcia konsekwencji i zawiadomienia o nich resortu.

Zjednoczenie Przemysłu Szelkowego nadzoruje kilkanaście Kozienic, z których każde mają ponad stu odbiorców, sprzedają dziesiątki różnych asortymentów w milionach sztuk i par i w setkach różnych terminów. Jasne więc jest, że o sprawie kozienicko-cieplickiej, obejmującej sto par, Zjednoczenie nie wie nic poza tym, co napisało Ministerstwo. Pisze więc do Kozienic z żądaniem wyjaśnień, wyciągania konsekwencji itd. Po otrzymaniu odpowiedzi cała odyseja powtórzy się w odwrotnym kierunku. Tymczasem jest już oczywiście połowa stycznia...

Odbiorca z dostawcą mieli spisaną umowę, obwarowaną wieloma różnymi sankcjami. Nikt jednak nie wierzy w umowy i w sankcje, choć tyle tysięcy ton papieru zużywa się na cały ten system. Lepiej wierzyć w administracyjne polecenie: zbadać i wyciągnąć konsekwencje.

I już nawet nie najważniejsze jest to, że w Kozienicach legion ludzi zajmuje się ciągle badaniem w styczniu takich spraw z października, szukaniem winnych, zestawianiem dokumentów, pisaniem sążnistych wyjaśnień. I nie najważniejsze jest to, że „sprawa" wlazła już do dziesiątków segregatorów w całym kraju, że nawet Departamenty upięły ją może tuż obok decyzji o budowie nowego kombinatu i na obie poświęciły tyle samo czasu, bo wreszcie czas jest jeden i rozciągnąć się nie da! i nie to, że z tego wszystkiego nic nie wyniknie poza korespondencją.

Najważniejsze i najgroźniejsze jest chyba to, że pierwszym odruchem pracownika, który powinien być na swoim odcinku gospodarzem w całym tego słowa znaczeniu, w naszym przykładzie — kierownika sklepu w Cieplicach, w wypadku gdy coś zaczyna przebiegać niezgodnie z papierkami — jest przekazanie zmartwienia natychmiast o oczko wyżej. Stworzenie nowego papierka i przyklejenie go do tamtego pierwszego. Niech się martwią, niech nikt nie powie, że przeoczyłem sprawę, że nie zareagowałem. Najgroźniejszy poza tym jest fakt, że wszystkie instancje wyższe utwierdzają tego pierwszego, pożal się Boże, „działacza" w słuszności jego postawy, kontynuując ten łańcuch szczęścia, czy raczej: nieszczęścia. Że nikt mu nie powie: panie, ma pan umowę? Zabezpieczył pan tą umową swoje interesy? To egzekwuj je teraz. Szukaj szelek gdzie się da, a jak się wcale nie da — to artykułów zastępczych, dogaduj się z dostawcami, albo ciągnij z nich karu, do których masz prawo. Działaj! Działacie razem z tymi nieszczęsnymi Kozienicami, bo i tak — jak widzicie — po zatoczeniu ogromnego kręgu sprawa tam właśnie trafi i tam znajdzie swój epilog.

Tak sobie pomyślałem w oparciu o autentyczną sprawę. Jedną z całego oceanu podobnych. Ale bo ja wiem, czy mam rację? Może ci dwaj z dołu spotkaliby się po prostu, ten temu przekaże odpowiednią sumę tutułem kar, uśmiechną się do siebie i — co tam szelki! Zadziałaliśmy zgodnie z przepisami!

Jakież tu jest wyjście, do jasnej Anielki? —

ĆWIEK

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Ewa Siemińska, Włodzimierz Stokowski (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 228 I. 1967 r. O-2.